KAPŁAN W BOJU

Szkice z Walk Wielkiej Wojny

Przez

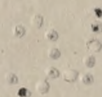
RENE GAELL

TŁUMACZENIE PRZEZ

S. H. C. R.



CHICAGO, ILL.
Drukiem Dziennika Chicagoskiego
1919



ROZDZIAŁ I.

Nie czas na żarty, odezwał się Generał X., mój dawny przyjaciel, w czasie międzynarodowego Kongresu w Lourdes.

Była to chwila podniecenia uczuć, chwila gotowości na wszystko, a jeden akord modlitwy wzniósł się z serc rozgrzanych ku niebu.

W mojej duszy rozlał się pokój, zdawało się bezgraniczny, lecz Generał myślał inaczej. Nie, powtórzył, nie czas na żarty, ani na zwątpienia wobec sił zdolnych stawić czoło najbardziej nieprzewidzianym niebezpieczeństwom, pokonać jeżące się trudności i daleko odpędzić gorączkę trwogi i przewidywań.

Następnie przedstawił nam obrazowo międzynarodowe powikłanie i pyszne wyzwanie Niemiec, kryjące dwa następstwa: zwyciężyć, lub zginąć. Wykazał bezcelowość dyplomacyi, lub zabiegów o pokój, nawał zdarzeń prowadzących do nieuniknionej katastrofy Wojna przed nami! nie traćmy czasu.

Za jaki tydzień miliony mężczyzn otrzymuje wezwanie pod broń, a Europa we krwi się wykąpie.

W 5 dni potem opuściłem Lourdes.

Na karcie mego wezwania do armii, wyczytałem moje przeznaczenie i miejsce gdzie się mam stawić, a ten kawałek papieru był dla mnie wymownym mówcą.

Zostałem żołnierzem, dążę na pole walki. krwawej, śmiertelnej, okrutnej. Natura ludzka zadrżała, jak w każdym, lecz kapłan okazał się od niej silniejszym. Poczucie obowiązku i duch ofiary — zwyciężyły naturalne trwogi i zapanowały nad wzruszeniem.

Ktokolwiek mię zapytał, czy i ja idę na wojnę? Tak, odpowiadałem, ale nie mordować i zabijać, lecz podtrzymywać, leczyć, rozgrzeszać. Odczułem jeszcze pewien ból na widok łez moich przyjaciół, ale i ten wnet przeszedł. Wszystko i wszystkich zostawiłem poza sobą.

Jestem w pociągu. Jadę.

Pewna matka, której pięciu synów poszło do wojska, siedząc obok mnie w wagonie, rzekła głosem przez łzy stłumionym:

„Rozesłano księży po rozmaitych regimentach. Będzie was wszędzie pełno. Jest w tem myśl Boża. On i ze złego dobro wyprowadzić zdoła. Ile jęków zostało stłumionych, ile ofiar łatwiej dokonanych, wobec pocieszającej myśli, iż nie zabraknie tam religijnej pomocy. Tam jadą księża.

Ruch był szalony; wszędzie czyniono gorączkowe przygotowania.

Przez jedno wielkie miasto przesuwał się pierwszy regiment, w drodze do bojowej linii. Jakież tam były gorące pożegnania, jakie entuzyastyczne okrzyki. Połowę tego wojska stanowili księża. Nasza duchowna odzież wywoływała oznaki gorącej sympatyi ludu.

Miłość Ojczyzny, Miłość Boga przez długie lata we Francyi rozdzielone, w obecnej chwili zlewały się w jedną; indeferentyzm religijny znikał przed ciepłym powiewem wspólnej miłości, ofiary, poświęcenia.

Lud garnął się do księży.

Pewien oficer podszedł do nas i wobec niezliczonych tłumów, przemówił: „Panowie, chciałbym uścisnąć gorąco każdego z was z osobna w imieniu waszych matek i całej Francyi. O jakże one was błogosławią, jak są z was dumne! — My świeccy nie znamy słów, które przynoszą ulgę i leczą bóle duszy w chwili zgonu, my się modlić nie umiemy, ale wy to umiecie, wy przyniesiecie spokój biednemu żołnierzowi u progu wieczności. Tu zapłakał, nie kryjąc wezbranych uczuć. Następnie wzniośle przedstawił doniosłość ofiary i cenę pociechy, niesionej obalonemu cierpieniem w zaraniu męskiego życia.

Niezliczone tysiące szły naprzód, wiedząc, że tam straszna walka, raczej rzeź na życie i śmierć, lecz nie wiedząc co każdego z nich spotka, szli walczyć, zabijać. My szliśmy pokrzepiać cierpiących, wiewać spokój w te poszarpane ludzkie istoty, osładzać okrutne bóle pewnością nagrody za tyle cierpień przyjętych z miłością Boga i Ojczyzny, wreszcie jednać ich z ich Stwórcą, gdy tego było potrzeba, a w chwili skonu, kluczem rozgrzeszenia otwierać im furtę niebieską.

Duch apostolstwa przenikał nas i rozgrzewał, a uczucie bratniej miłości przepełniało serca. W tem: „Baczność!” Zapanowało głuche milczenie. Zaczęto wywoływać nas po nazwisku i rozdawano szarże. Jedni do zbierania rannych na nosze, jako sanitaryusze i tych było bardzo wielu. Samo wywoływanie trwało dwie godziny. Zadaniem ich zabierać rannych z pola bitwy, czasem pod ogniem nieprzyjaciela.

Dla urozmaicenia czasu oficer odzywał się słowami podobnych uwag: „Będziecie tam wystawieni na równe niebezpieczeństwa, co i walczący. Nieprzyjaciel będzie strzelał do ambulansów, a Czerwony Krzyż na waszych ramionach nie ustrzeże was od kul niemieckich.”

Liczba przeznaczona do noszów powiększała się znacznie; starsi wiekiem do lat 40 otrzymywali jednocześnie oznaki za swe poświęcenie.

„Wielu z was już stamtąd nie wróci, brzmiały dalej niewesołe uwagi oficera, a niektórzy w stanie najokropniejszego kalectwa, ale, dodał z ożywieniem, odwaga wasza jest wielka, wspaniała; was mogą zabić, okaleczyć, ale wy księża nie zabijecie nikogo, a rany i kalectwa osłodzicie troskliwą opieką. Wasz obowiązek łagodzić cierpienia wszędzie, nieść ulgę każdemu, ktoby nie padł na waszej drodze.

Czy i Prusakom? zapytał ktoś wesoło?

I Prusakowi. — Jesteście bohaterami miłości bliźniego, nie do was należy zemsta i zniszczenie.

Dzięki Panu Bogu! Mnie wołają, odezwał się stojący za mną ksiądz-żołnierz. Bałem się, że pominą.

Nie być przyjętym na sanitaryusza do noszów uważało się za wielką niełaskę, a my starsi wiekiem i nieco słabsi przeznaczeni do szpitali, czuliśmy się nieco pokrzywdzeni, ale trudno i tam potrzeba wielka, a obowiązek **ważny.**

Oczy ks. Duroy, już wciągniętego na listę pożądanego obowiązku, zabłysły radością, a żywa jego wyobraźnia już go przeniosła na pole walki, już zabierał rannych na nosze. Szedł on „la bas" — tam na miejsce boleści i śmierci z głębokiem przejęciem się swem doniosłem posłannictwem, z oddaniem się absolutnem i gotowością na wszystko. W jego osobie odbiło się usposobienie całego francuskiego duchcwieństwa pod broń wezwanego, lub śpieszącego z misyą do umierającego żołnierza. Dano rozkaz gotowania się do wymarszu. Duroy wziął mię na stronę. „Wyglądasz jak gdybyś mi zazdrościł?" „Naturalnie," odrzekłem. Rozumiem cię.

To nowe życie na tle poświęcenia się, jest jakby częścią naszej moralnej istoty, ale czyż trzeba było aż wojny, by robić to, co się teraz robi. Przez lat 20 byłem zawsze żołnierzem-patryotą, który walczy ze złem, goi rany i jedna z Bogiem. Rozległ się głos trąby, pierwszy sygnał wyjazdu. Podaliśmy sobie bratnie dłonie. Wzrok nasz obu je-

dną myśl wyrażał. Byłem słabszym na duchu, więc mimo woli wyrwało się: Czy się jeszcze spotkamy?

Czy się spotkamy, powtórzył, wie jeden Pan Bóg, a ja teraz jedno czuję, że umrzeć za taką sprawę, kiedy się ma ledwo 30ci — to łaska niezasłużona.

Słuchaj przyjacielu, przyszła mi myśl znakomita. Będę do ciebie pisał z „la bas" — stamtąd, jak tylko zdołam, a wiem, że z tych notatek ułożysz zajmującą książkę.

Uścisnęliśmy się. Wiedziałem, że Duroy obietnicy dotrzyma. Rozstaliśmy się. On na front bojowy, ja do szpitala, oba na spotkanie odmiennych niebezpieczeństw, a w jednakim celu sprawy Ojczyzny i dobra bliźnich.

Przeznaczono mnie do szpitala, którego nie łatwo dosięgnąć mogły niemieckie armaty.

Miałem tam wielką naukę znoszenia cierpień. Uczyłem się przy chirurgach opatrywania ran.

Nieraz całe ręce we krwi, a mój biały fartuch, cały czerwony od plam krwi. Odczuwam całą grozę wojny, i dzielę cierpienia walczących.

Chłopak 19-to letni, którego całe lewe ramię zostało zgruchotane, rzekł mi, gdy usiłowałem przywrócić pokój i ufność w jego skołataną duszę: „Jeszcze to nie tak źle, gdy się ma waszą miłą opiekę w tej niedoli."

Gdy go zapytałem, dlaczego nasza opieka jest mu miłą, przytulił się do mnie, jak dziecię i rzekł: „Bo wy nas kochacie."

Kochać tę cierpiącą młodzież, jest naszym najmilszym obowiązkiem, każdy też okazuje im uprzejmość, zainteresowanie się, a my dla nich mamy miłość.

Jeden wieśniak z Maroko, któremu amputowano palce, odezwał się:

Nie szkodzi, że jestem nieco poturbowany, wszystko jest dobrze, gdy ty księże jesteś przy mnie.

W obecnej chwili 20,000 nas pielęgnuje rannych po szpitalach. Pan Bóg czuwa nad krajem naszym.

ROZDZIAŁ II.

Było to w nocy. Słyszałem każde uderzenie zegara i zewsząd rozdzierające jęki, wzdychania, okrzyki trwogi wydane w gorączce, a wszędzie dotkliwe cierpienia wzywające pomocy.

Ogromne sypialnie w szkolnym budynku zamienionym na szpital wojenny, były przepełnione. Wielu rannych cierpiało w milczeniu, a tylko czasem, w okrutnym bólu poszarpanego ciała, wyrywały się im bolesne jęki.

Zbliżyłem się do łóżka, które słabo było oświetlone przyćmioną lampką. Leżał tam chłopak około lat 20tu. Dotkliwe bóle nie dozwalały mu zasnąć ani na chwilę. Widziałem go przedtem na noszach strasznie pokaleczonego a w szeroko otwartych oczach malowała się okropność piekiel-

co tak umiał cierpieć z godnością, musiał umieć walczyć z męstwem i wytrwale.

Robiąc znak krzyża nad nim, spostrzegłem na szyi medaliki. Otworzył oczy, chciał je pocałować. Pomogłem mu. Miały ślady krwi skrzepłej. Ten, Serca Jezusa, włożył na mnie ksiądz w ambulansie. — O, co też to była za noc! — Potoki krwi lały się z ciał poszarpanych. Tu mój Marsylianin zadrżał, nie z bólu, lecz na wspomnienie tej piekielnej nocy. Przerażające wspomnienia zajęły umysł, zaczął opowiadać krwawe sceny. Radziłem by się uspokoił i zasnął, ale słowa płynęły mu z ust gorączkowo:

„Walczyliśmy cały dzień bez żadnej przerwy, zostawiając zabitych i konających za sobą, a postępując wciąż naprzód.

Kule sypały się jak grad. Była to jakby ognista, szalona burza, piekło ziało ogniem z swych czeluści i otoczyło nas ze wszech stron. Huk, trzask, wycie, wrzawa, jęki. Widziałem moich towarzyszy padających tuż przy mnie. Jedni na wpół rozerwani, inni rozszarpani w kawały szrapnelami, a członki rozrzucone na wsze strony, głosu nie wydali, nagle zmieceni jak liście wichrem.

Ale ci co jeszcze żyli z oderwanymi członkami w kałuży krwi... O! nie mogę mówić, krew zamierała od tych okrutnych jęków. A tyle tego, ze wszech stron!... Można było oszaleć.

Zamilkł, napił się wody.

Uspokój się, jutro skończysz. Ale on nie słyszał. Dotąd mówił jak człowiek, teraz rozbudził się w nim żołnierz, z całym zapałem ojczystej miłości.

Było to okropne, a jednak piękne, wspaniałe, porywające! Wojna zabija, ale i upaja. Czasem rozległ się śmiech głośny, szyderczy, coś piekielnego. Nie wiem, kto mógł śmiać się wtedy.

Niebezpieczeństwo na wsze strony, wszędzie śmierć grozi, ale zarazem jakaś nieznana, potężna siła pociąga bez oporu.

Kapitan stał, my leżeliśmy. „Tak, dobrzy chłopcy” czasem przemówił. Słyszycie, jak pułk 75ty śpiewa? Tak. Oni tam śpiewali, a hełmy pruskie spadały, jak dojrzałe orzechy, gdy się leszczynę wstrząśnie.

Nagle komenda. Skoczyliśmy na nogi i rzucili się naprzód, na równinę. Tysiące kul świsnęło koło nas i nad nami, ziemia pod nogami zadrżała od huku.

Tu ścisnął mą rękę. Wiesz co księże, że pomimo wszystkiego, było to wspaniałe, imponujące, nawet choćby kula powaliła na ziemię, zapał się wzmaga.

Około 6tej godziny kapitan padł, ugodzony kulą, padając zakomenderował: „Naprzód, na bagnety!”

Rzuciliśmy się do ataku w morze ognia. Nic przed nami, tylko ogień armatni. Uszy ogłuszone hukiem szrapneli. Zrobiłem dziesięć kroków, zaw-

sze w strasznym ogniu; ile oko dosięgło, wszędzie ogień i w ten ogień idziemy. Nagle, jakby piorun padł wśród nas. Upadłem obok towarzysza, oba jednocześnie ranieni zwaliliśmy się na jedno miejsce. Był to ksiądz, kapelan naszej dywizyi, rezerwista, lat 28.

Odezwał się do mnie, śmiejąc się: „Tyś dostał w nogę, ja w ramię.” Zalany krwią, jeszcze żartował. Nagle spoważniał i mówił do nas, jak kapłan do umierających: „Teraz dzieci uczyńcie akt skruchy z wiarą w dobrego Boga, który widzi wasze poświęcenie się i wasze cierpienia, ofiarujcie te bóle za grzechy wasze, a teraz mówcie za mną z głębi serca: „Boże mój, żałuję serdecznie za wszystkie grzechy moje. Przebacz mi.”

Widzę go jeszcze. Krew upływa, podnosi się nieco, z trudnością opiera się na zdrowem ramieniu, rękę wznosi, żegna nas, daje absolucyę, chłopacy nasi modlą się za siebie, i za tych, co się już nie podniosą, aż na sąd ostateczny.

Widziałem go potem w szpitalu polowym, oddychał ciężko, ale zawsze uśmiechnięty, z miłem słowem otuchy dla drugich. On to dał mi ten medalik. Umierał z różańcem w ręku. Patrzałem nań gdy konał, miał wyraz anielski, spokój i przedsmak nieba na twarzy. Pamiętam, że doktór zatrzymał się był przy jego łożu, zawołał drugich lekarzy, wyprostował się i rzekł uroczystym głosem: „Ten, umiał pięknie umierać! Jedni umierają ze strachem, ze smutkiem, cali sobą zajęci, on

do ostatniej chwili myślał o drugich. Patrzcie tylko, on jeszcze się uśmiecha.

Tu mój Marsylianin zatrzymał się, myśl jego była zajęta zmarłym przyjacielem-kapłanem.

I on zapomniał o swych cierpieniach wobec wspomnień kapłana-żołnierza, którego rozgrzeszenie pokrzepiło ich i umocniło w torturach boleści.

Podałem mu coś do napicia się. Pocałował swój medalik i zaczął usypiać, nie wiedząc jak wspaniałą opowiedział historyę.

W tym przedziale leżało 24 podobnych mu młodzieńców. Patrząc na tę młodzież, boleścią obaloną, myślałem sobie, iż każdy z nich niejako odrodzony cierpieniem, ma prawo do sławy w ojczyźnie ziemskiej a do nagrody w wiecznej.

Taką to była pierwsza moja noc w szpitalu. Z niemałą radością odczuwałem, że chociaż nie żołnierz i nie na froncie bojowym, biorę jednak czynny udział w wojnie i jestem Ojczyźnie użytecznym.

Tam „la bas" mają czem karmić miłość własną i dumę nasi bohaterzy, a tu, na łożu boleści w zapomnieniu o Bogu, mogliby stracić swą duszę, gdyby nie duchowna pomoc. Tam widzą Ojczyznę walczącą, tu wnet mają ujrzeć twarzą w twarz swego Boga, tak długo we Francyi przez wielu zapomnianego, nierozumianego i zaniedbanego.

Dostałem list z „la bas" od Duroy. Przekonał się na miejscu faktycznie, że Pan Bóg żądał swych księży na polu bitwy, obok żołnierzy.

Dobry mój przyjaciel Duroy opisał mi swój chrzest ognisty.

ROZDZIAŁ III.

Śmierć Żołnierza.

Na liście Duroy były plamy krwi i błota. Z czyjej to ziemi błoto, ani czyja to była krew, nie wiem, a czułem, że wymowne poemata dały się z tych plam wyczytać, gdyż są znakami bronienia ziemi, dowodem przerażających ofiar, ceną których okupiono zwycięstwo.

Oto słowa listu:

„Teraz przyjacielu już jestem na miejscu chwały i niebezpieczeństwa. Wspaniałe to i razem okrutne. Jeden umiera, drugi admiruje zwycięstwo.

Zaliczeni do niewalczących, zostaliśmy posłani w sam ogień, jako przeznaczeni do zbierania rannych. Przy tem zajęciu o charakterze miłosierdzia, byliśmy jednak oficyalnie ostrzeliwani przez Prusaków.

Co tylko piękne, szlachetne, wspaniałomyślne, zciąga furyę tych dzikich bestyi. Strzelają do każdego, niszczą ambulanse, Czerwony Krzyż, rozszarpują pociskami, tak że działalność nasza jest wśród największego niebezpieczeństwa.

Chciałbym ci dać pojąć moją radość i dumę, gdy otrzymałem rozkaz iść zbierać rannych w o-

gniu, ledwo 10 jardów za naszą kawaleryą, atakującą nieprzyjaciela. Major, dający rozkazy i rady, był uderzony widokiem tylu nas z wysypującym się zarostem. Co ja widzę! zawołał. Toż to prawie sami księża wysłani naprzód.

Tak, księża naprzód! — było naszem hasłem. Towarzysze mówili o nas, że jesteśmy odważni i zapamiętali w poświęceniu się, ale i im tych zalet nie brakło. Oni szli w bój krwawy żartując i śmiejąc się, my modląc się za nich i za siebie.

Niebezpieczeństwo wielkie dla wszystkich, ale poczucie obowiązku i ofiary z punktu religii, daje nam może pewną przewagę w moralnej sile.

Idący z noszami w to piekło, musieli mieć wiele roztropności i odwagi. Nieraz się słyszało, że każdy żołnierz dopóty śmiały, póki ma broń w ręku, a gdy ją traci, opuszcza go odwaga. My księka nie mamy broni w ręku, a mamy to samo ciało i ludzką naturę do bojaźni skłonną, jednak idziemy naprzód, bo tam „la bas” biedni w boleściach konania czekają na nas, potrzebują kapłana, inni wołają o nosze.

O, jakiej głębokiej skruchy bywałem świadkiem, dając absolucyę! Zdawało się, iż się widzi ich dusze wstępujące do niebios, gdyż Pan Bóg o swej nieskończonej dobroci przyjmuje podobną ofiarę i nagradza ją, swą bezbrzeżną, boską hojnocią.” Bądź zdrów.

Przyjaciel mój, Duroy jest dzielnym człowiekiem, z podwójną odwagą: do wielkich i do małych

rzeczy. Idzie w ogień po rannych z radością, a po takiej expedycyi, chwyta chwile do pisania tych cennych wieści.

Ten pierwszy list dał mi ogólny pogląd na działalność naszego kleru w tych tragicznych chwilach. Inne listy otrzymywałem z „la bas," od niego, nakreślone ołówkiem naprędce na pomiętym, zakrwawionym pół-arkuszu, a forma ich była najdonioślejszem echem krwawej epopei.

Oto list taki: „Noc zapadła. Krok za krokiem posuwa się żyjąca ściana naszych żołnierzy po gruncie zdobytym na odpartym nieprzyjacielu. Każdy jard tej ziemi kosztował wiele żyć ludzkich. Bitwa w toku. Nieznośne aeroplany niemieckie z hukiem grzmotów przesuwają się nad nami, rzucając pociski. Na wsze strony trupy, lub bezwładnie leżące pokaleczone ciała.

Niektórzy z rannych, opierając się na łokciach, pełzają dalej, szukając nieco bezpieczniejszego schronienia, nim się noszy doczekają. Inni rzucają się, wiją się w bólu, tamci jęczą w desperackim usiłowaniu podniesienia się, by ujść nowych pocisków, lecz daremnie, osłabieni większym krwi upływem opadają bezwładni.

Czasem żałosny jęk umilkł nagle pod odłamkiem szrapnela, kładącego koniec smutnej egzystencyi. Tam ktoś zaklął. Większość woła księdza, a wszystkie jęki zlewają się w jeden akord bezbrzeżnej boleści, przy piekielnym huku różnorodnych strzałów, bomb explozyi. Koncert nielada!

Na froncie wre walka, wre dzień cały, wreście światło dzienne ustępuje gwiazdom jakby przerażonym okropnością widoku. Można oszaleć od samego huku, wściekłość dokoła.

Po drodze śmierci, idącej dalej naprzód, kroczy teraz miłosierdzie niosące pomoc, litość śpiesząca z pociechą. — To szereg nas księży z noszami, by zabrać tych, co jeszcze dyszą, rozgrzeszyć, co konają, pragnąc pojednać się z Bogiem, zawsze gotowym przebaczyć.

Tam i ówdzie błyskają już światełka w ciemnościach nocy za łuną oddalającej się bitwy. Wytężone oczy cierpiących śledzą ich zbliżanie się, błagalne głosy przywołują na wsze strony do siebie, o pomoc, o nosze.

To miłosierdzie, ludzkość, nadchodzi po śladach barbarzyństwa, dzikości. Nosze zatrzymują się, kapłan pochyla się nad obezwładnionym cierpieniem.

W miarę oddalania się wrzawy bitwy, głosy z pola walki stają się wyraźne, dojmujące, rozpaczliwe. Smutny to, a potężny napięciem bólu koncert. Tu, tu, do mnie, prędzej, na miłość Bożą! zabierzcie mnie, mam ręce urwane, krew upływa, śpieszcie, ratujcie, o prędzej, prędzej!...

Czasem podnoszą się ręce, gdy skaleczone piersi głosu wydać nie zdołają.

Światełko się zatrzymuje, kapłan schyla się, szmer łagodnych głosów stanowi żywy kontrast z dalekim echem armat.

Leczy duszę, nim podźwignie ciało.

Mój Duroy był przepełniony pragnieniem ratowania dusz. W tym czasie on nie miał innej myśli, innego pożądania.

Razu jednego, ze swym towarzyszem, księdzem zabrał już wielu rannych i odniósł na miejsce opatrunku. Wracał z próżnymi noszami po nowych, gdy nagle krzyk dominujący nad innymi, wstrzymał ich. Słuchali skąd pochodził. To tam dalej przy wzgórzu rzekł jeden z sanitaryuszy. Bliżej ozwało się drugie wołanie o pomoc. Postawili nosze. Ja pójdą zobaczyć tam pod wzgórzem, rzekł mój towarzysz, a ksiądz zostań przy tym bliżej. Obejrzałem śmiertelne rany biedaka. „Czy pragniesz, żebym ci udzielił rozgrzeszenia?” O tak, tak, tego właśnie chciałem. Nie rób wysiłku, ja ci pomogę przygotować się. Umierający powtarzał za księdzem akt żalu i wnet zaczęła się agonia. Nagle Duroy odmawiający modlitwy przy konających, podniósł się, wyprostował się. Dwa strzały dały się słyszeć.

„Ratunku!” rozległo się wołanie. Duroy poznał głos swego towarzysza. Rzucił się w tę stronę. Strach i boleść przeszyły mu serce, gdy przybiegł.

Przy świetle rzuconej lampki widzi towarzysza rozciągniętego na wznak na ziemi i dymiący jeszcze niemiecki rewolwer.

Kapłan sanitaryusz został brutalnie zastrzelony przez niemieckiego oficera, który z strzaskaną

nogą przywoływał zdradliwie pomocy Czerwonego Krzyża, a gdy się ksiądz schylił nad nim, wpakował mu dwie kule w samo serce.

Dzika wściekłość opanowała mnie, pisze Duroy, na widok tak nikczemnego mordu.

Rzuciłem się ratować go, ale daremnie. Został zamordowany na miejscu, gdy niósł pomoc i miłosierdzie, a głos, który jeszcze wydać zdołał, to już chyba z nad grobu.

Pragnienie zemsty przeniknęło całą mą istotę, pisze dalej, a myśl następna powstała w mej głowie: Ten człowiek jest nikczemnym rozbójnikiem, a więc mam za sobą słuszne prawo obrony. Podniosłem jego strzelbę, leżącą obok, na końcu miała okrutny, ostry bagnet i skoczyłem ku leżącemu zabójcy. Ten brutal zaczął tchórzosko jęczeć, wzniósł ręce nad głowę, jak to czynią ich żołnierze, gdy się chcą poddać.

Było coś niesłychanie podłego w tem błaganiu o litość, po dokonaniu podobnej zbrodni. Stanąłem naprzeciw niego, patrzyłem chwilę, a inna siła niż ludzka obezwładniła mą rękę. Strzelba z bagnetem padła na ziemię. Kapłan we mnie pokonał człowieka, a głos kapłańskiego sumienia zaprotestował, odzywając się w głębi duszy: „Ty nie jesteś tu by zabijać, nawet mordercy twego przyjaciela. Nie wolno ci! Nie dobija się zresztą rannego, nawet kryminalistę. Zostaw walkę drugim, ty masz ratować rannych, nie zważając czy zasługują na to, lub nie.

Wystrzały przyciągnęły innych z noszami, biegli prędko. Odgadli co zaszło, widząc trupa biednego księdza, a przy nim leżącego niemieckiego oficera. W pierwszem uniesieniu, rzucili się na prusaka. Stanąłem w obronie mordercy mego przyjaciela. „Nie czyńcie mu nic złego, nie mamy do tego prawa, nasze zadanie — ratować go.

Zrozumieli. Nadszedł doktór będący na czele tej nocnej expedycyi.

Ze wstrętem popatrzył na zabójcę. Pochylił się nad nim, skonstatował ranę i dał polecenie zabrania na nosze, a ja zabrałem ciało księdza i nieśliśmy je ze czcią, mówiąc „De Profundis."

Całą tę noc obchodzono po polu z latarkami, by nie zostawić nikogo rannego.

Nad ranem, gdy zmęczeni rozciągnęli się na słomie, by się przespać, poszedłem wykopać grób wśród kilku drzew ominiętych wojną.

Tam, z towarzyszami, odmówiliśmy modlitwy i ciało spoczęło w ziemi.

Końca listu nie można było wyczytać.. Byłem do łez wzruszony, wyczytując ze zmiętego papieru jeszcze te wyrazy: „Była to niedziela, urządziliśmy ołtarz pod drzewami na świeżym grobie zamordowanego kapłana. Kilka rannych przywlekło się, by Mszy św. wysłuchać. Modlono się za zabitych, za walczących, o szczęśliwy obrót całej sprawy.

Nic nie brakło do ofiary, ani dobrowolnego poświęcenia się, ani przebaczenia, którego jego dusza pragnęła, a usta moje wyraziły.

Niech podobne mogiły, a w nich złożone ofiary na wzór katakomb, odmienią ducha Francyi i zbliżą ją do Boga.

ROZDZIAŁ IV.

Napadała nas czasem pokusa zniechęcenia wobec biernej pracy. Na froncie ryzykują życie, przeżywają straszne wstrząśnienia, ale ruch, czyn podnieca, pędzi do zwycięstwa, jeśli nie do śmierci, a nasz stan bierny, wydawał się nam ubliżeniem męskiemu charakterowi.

Aż raz nadszedł pociąg z rannymi.

Widok mnóstwa młodzieży w samem życia zaraniu, pokaleczonej do niepoznania ludzkich rysów, z przerażającemi ranami, przekonał nas, że niosąc im pomoc, bierzemy czynny udział w wojnie. Jeden z frontu upewniał, że miłosierdzie i dobroć okazana tym ofiarom boleści, wyrówna heroizmowi na bojowej linii.

Obok pracy księży, pięknym jest współudział lekarzy w tej wojnie.

Nasz naczelny doktór dobrowolnie opuścił swą ogromną praktykę, gdzie używał wielkiej sławy i czynił wiele dobrego. Był on biegłym w swej sztuce, odważnym, zręcznym, a przy tem dobrym i rozumnym.

Oceniał pracę księży, rozumiał doniosłość poświęcenia się dla wyższych celów, a całe jego usiłowanie dążyło do sumienności w obowiązkach przy chorych.

Wiedział, że go cenimy, i wzajemny bratni stosunek nawiązał się wśród nas. Ufał nam, czuł się spokojnym, gdy miał do pomocy księży, których starania uzupełniały sukcesy jego prac medycznych. Z pewną dumą zwał nas swymi asystentami.

W pokoju operacyjnym zażądał dużego krucyfiksu, a gdy na to szemrano, dowodząc, iż bezwyznaniowi mogą być z tego niezadowoleni, on, chociaż sam nie praktykujący katolik, stanowczo, krzyża zabrać nie pozwolił, mówiąc: „Niech symbol bożej męki, osładza ludzkie cierpienia.

Krzyż pozostał, a niejeden przed operacyą, gdyśmy go na stół kładli, nim chloroform zaczął działać, czynił akt wiary, polecając się ukrzyżowanemu Zbawcy.

Wciąż lejąca się krew, mnóstwo odciętych członków, pogruchotanych kości, wypalonych oczu robiło na nas wrażenie, żeśmy też „la bas” byli i widzieli co się tam dzieje dla tryumfu naszej Ojczyzny.

Młody Marsylianin, o którym wspominałem, jakoś nam posmutniał. Rany jego pogorszyły się, a on tak pragnął pocieszyć swą matkę dobrą wieścią o swem zdrowiu.

Jeszcze po żołniersku panował nad sobą, uśmiechał się do nas, żartował ze swej bolącej nogi, ale pomimo tego posępniał. Oczyma śledził ręce lekarza, gdy był opatrunek, starał się wyczytać z jego twarzy stan swój prawdziwy.

Lekarz był zmartwiony rozmaitemi komplikacyami choroby, ale ukrywał to przed młodzieńcem.

Jest bardzo źle doktorze, nieprawdaż?

Major zaśmiał się. Co też ci przychodzi do głowy! W twoim wieku nie łatwo bywa „bardzo zle!” Nie będziesz chodził za dwa dni, ale czekaj podniesiemy cię z łóżka i jeszcze potańczysz na twem weselu. Zobaczysz jak ci będzie dobrze, gdy wykonam małą operacyę.

O! jęknął biedny chłopak, jeszcze operacya?

Będę bardzo rad, gdy cię całego i zdrowego odeślę twej matce.

Dobrze, operuj. A kiedy to będzie?

Zaraz mój przyjacielu. W pięć minut będzie po wszystkim.

Pogłaskał mu policzek. Ciesz się i śmiej się.

Rozbudził w chłopaku chwilowo uśpioną odwagę. Myślę, że się nie boisz?

Chłopak podniósł się. Ja mam być tchórzem? Mój mocny Boże! Kto panu powiedział, że ja się boję?

Gdy doktór nie potrzebował już ukrywać swego niepokoju, rzekł do nas. „Biedny chłopak! oby nie było zapóźno!

Te słowa przejęły nas smutkiem. Staraliśmy się pocieszyć chłopaka, zapewniając pomoc w modlitwie, która zawsze dodaje sił i wytrwanie.

Nie lękaj się, będziemy przy tobie, a modlitwa podtrzyma cię. Pan Bóg jest dobry i wszechmocny.

Miano wpierw dokonać operacyi na jednym Żuawie. O, ja nie chcę być uśpionym, wołał tenże. Doktór major wziął go łagodnie za ramię. No, chodź mój chłopcze. Ale on wyrwał mu się. — Żadnego chloroformu doktorze, musisz zrobić jak ja chcę! — „Zrobię co jest potrzebne. To do ciebie nie należy.”

Bardzo przepraszam, moja skóra jest moją własnością. Widząc biały stół, chciał uciekać, ale go zatrzymano i położono, nie pomógł desperacki opór. Rana nie była niebezpieczną, ani operacya trudną. Jakto, rzekł doktor major, chciałbyś całe życie nosić to niemieckie śmiecie w twej polędwicy?

To wystarczyło, by zachęcić Żuawa do operacyi. O tak doktorze, rób co chcesz, byleś mnie prędzej postawił na nogi, żebym mógł pójść „la bas” po zemstę.

Za parę minut został uśpiony. Kula zapędziła się była daleko, z lewej strony kości pacierzowej.

Zręczna ręka chirurga, zdawała się być obdarzona wzrokiem. Wśród krwi i ciała poczuł metal, ale ani rusz nie dawał się on wyciągnąć.

Asystent chirurga szepnął do nas: Jeśli chcecie wiedzieć, czy uchwycił kulę, nie patrzcie na palce doktora, ale na jego fizyognomię.

Tak było rzeczywiście. Jak długo metal mu się opierał, twarz majora wyrażała niepokój, usiłowanie.

Naokoło stołu panowało głuche milczenie.

Każdy z nas brał udział w jego wrażeniach, dzielił takowe. Znagła oblicze majora rozjaśniło się. Oczy przemówiły pierwej niż usta. I nasze twarze rozpogodziły się.

Dostał ją, wyciągnął.

Oto jest czarna świnka! zawołał z humorem.

Żuaw nawpół przytomny, usłyszał okrzyk i wyszeptał blademi ustami: A, a, — czarna świnka! Zanieśliśmy go na łóżko, gdzie z bólu myślał, że cały szrapnel miał w ciele.

Z temiż noszami poszliśmy po naszego Marsylianina.

Jeden z nas odezwał się: „Odwagi mój chłopcze!" Chcą cię ocalić! — nie brakło hartu tej szlachetnej duszy.

Uśmiechnął się, pokazał mi swój medalik Najśw. Serca. „Ojcze, odeślij to mej matce, gdy umrę."

Siła rezygnacyi widniała w jego bladych rysach, na widok operacyjnego stołu, uśmiechnął się smutnie.

W tem miejscu nie jedno młodzieńcze serce zwraca swe uczucia do oddalonej matki, której

niepokoje i cierpienia zwiększa niepewność, lub zupełna niewiadomość o losie ukochanego syna. Czy też on ranny i jak? Czy zabrany z pola bitwy? W jakim szpitalu? Czy może tam umiera nie widząc mnie przy sobie?

Nasz młodzieniec, lekko jak dziecko złożony został na białym stole i praca chirurga zaczęła się. Wiele tam było zgruchotanych kości, które trzeba było po kawałku usunąć. Ostrożność musiała być nadzwyczajna, by nie naruszyć arteryi.

Przypatrywaliśmy się pracy doktora z zapartym oddechem. Czasem uśpione ciało drgnęło konwulsyjnie, lub spazmatyczne duszenie się ozwało pod maską.

Drzeliśmy na widok kości, wyjmowanych z żywego ciała. Rozumiałem jakich okrutnych dozna boleści, gdy się ocknie. Łzy napełniały nam oczy. Doktor wypowiadał czasem krótkie swe spostrzeżenia. Żal nam było ciąć całe ciało dla wybierania kawałków połamanych kości.

Daremnie śledziliśmy światełko nadziei w jego twarzy. Trudno o nadzieję dla tego, kto tak długo zostawał bez opatrunku.

Doktór trzymający chloroform, przerwał milczenie: „Serce bić przestało!” Obawiam się, że skończy.

Popatrzyli doktorzy jeden na drugiego z zapytaniem w oczach, ale bez odpowiedzi.

Jeśli umiera, a nas tu tyla z ustami i rękoma mającemi władzę ściągnąć pomoc Bożą dla wychodzącej z ciała duszy, po co czekać?

„Doktorze, czy nie dać mu absolucyi?”

Doktor potwierdził skinieniem głowy. Myślę, Ojcze, że to będzie na miejscu, rzekł.

I oto piękne zjawisko: Przedwieczna wiara nieskończenie wyższa nad wszelki horyzont ludzkiej wiedzy, zastępuje miejsce człowieczej nauce, wątpiącej sobie. Uczony chirurg cofnął się. Kapłan przystąpił. Zapomniano o śmiertelnem ciele, myślano o wiecznie żyjącej duszy.

Pochylony nad skrwawioną postacią młodzieńca, wzruszonym głosem przyzywał miłosierdzie Boże i łaskę skruchy, a ręką, co czyni znak odkupienia potwierdził i umocnił skuteczność słów, które jego usta wyrzekły. Spełniwszy swe zadanie, cofnął się, robiąc miejsce uczonemu, by jeszcze próbował leczyć.

Nasz Wódz niebieski sprawił tu istny „cud”, ku zdumieniu poczciwego doktora, chłopak wytrzymał, nie umarł. Przez dwa dni czuwaliśmy przy nim bez przerwy, osłabienie było straszne, ledwo się można było dopatrzeć życia. Ale chłopak żył.

Pokochaliśmy jeszcze więcej tę dzielną, szlachetną i mężną młodzieńczą duszę, gdyż wiele nas kosztował niepokoju, a ile też modlitw poszło za nim do Boga!

Za kilka dni był w stanie napisać do swej matki, że czuł śmierć bliżej siebie na stole operacyjnym, niż w transzach. „Jestem ocalony matko droga, dzięki chirurgowi. A ponad wszystko, — księża byli przy mnie.”

ROZDZIAŁ V.

Msza święta pod ogniem kul.

Nie mogę pojąć, ja, który nie miałem szczęścia być „la bas” w ogniu, jakim sposobem Duroy może mi tak wiernie opisywać jego wrażenia z wojny. Co dni kilka, czasem nawet list, lub słów kilka w brudnej, zmiętej kopercie, na którą lubiłem patrzeć pierwej, nim ją otworzyłem.

Był to posłaniec wierny z tajemniczego „la bas”, dokąd idą z odwagą, gdzie cierpią mężnie, gdzie kochają ideał.

„Powiem ci szczerze, pisze, nigdy, jak teraz nie znałem całej piękności kapłańskiego zawodu; widnieje on wśród najzaciętszej walki, w najniebezpieczniejszych sytuacyach, słyszy się z rozpalonych ust rannych i konających w formie doskonałych aktów skruchy i wiary, co w dzisiejszej Francyi brzmi jak cudna melodya dawno nie słyszanego fletu.

Czy uwierzysz przyjacielu, że nasi chłopcy chcą umierać pogodnie, nie pozostawiając po sobie wrażenia skargi, lub smutku, uważają to sobie za punkt żołnierskiego honoru.

Jeden ranny, o rozdartych odłamem żelaza piersiach, gdy go chciałem podnieść, uśmiechnął się mówiąc: „Zostaw mnie tu, niech moje i towarzyszy moich ciała utworzą barykadę, przez którą Niemiec nie przejdzie.

Gdy mu powiedziałem, że jestem ksiądz, więc może przedemną odkryć tajemnice swej duszy i zyskać spokój. Zaśmiał się radośnie, duch tryumfował nad boleściami ciała.

„Ja dziś przed bitwą dostałem Komunię św. przed gradem kul, więc jestem gotów iść do nieba, tak nam powiedział ksiądz.”

Schyliłem się nad nim, składając pocałunek na czole męczennika i wnet przestał cierpieć, a zaczął lepsze, nieśmiertelne życie.

O! ta Msza pod gradem kul, jakie wspomnienia radości i tryumfu obudziły we mnie wyrazy tego umierającego chłopaka. To ja ją odprawiłem i ja w imię Boże obiecałem niebo tym, którzy przyjęli Komunię św. przed bitwą. O, ich spowiedzie, ich skrucha, jaka szczerość, jakie wylanie się!

Nigdy już nie doświadczę tak głębokich, tak wzniosłych wrażeń.

Posyłam ci kilka nut, nadaj im odgłosu dalekiej kanonady, echa wrzawy wojennej i majestatycznej muzyki naszych bateryi, brzmiących jednocześnie. W gorących słowach wyraź ten dzień pamiątkowy, uroczysty, którego nie oglądałeś, ale masz dość francuskiej fantazyi, by odczuć i od-

tworzyć tę wielką tragedyę, i to głębokie wzruszenie.

Z tego wątka złotych nitek, wątka promieni chwały odtworzyłem wspaniały widok, oglądałem oczyma duszy tę Mszę przed bitwą i słyszałem akompaniament artyleryi do wielkiego Credo tysiąca dusz.

Duroy pisze dalej: „Jest godzina 6ta rano. Jasny poranek odkrywa ruiny, z których straszne zniszczenie wychodzi, jak szkielet szukający barbarzyńców, co byli sprawcami tego ogołocenia. Naokoło zniszczone, porozwalane do szczętu domostwa, stratowane pola, porozdzierane drzewa, wtłoczone w ziemię krzewy. Zewsząd widnieje nędza, głód, które podnoszą swe głosy ku niebu, razem z mgłą poranną.

Wszędzie głębokie milczenie, odbicie ponurego smutku. Ptactwo wystraszone odleciało daleko, ani wrona nie zakracze, ani wróbel przeleci.

Nagle, z pod lasu o połamanych i porozdzieranych drzewach wychyla się życie, ruch ludzkich postaci pędzących spiesznie. Błękitne spodnie. O! to nasi żołnierze, to oni, świeża młodzież pędzi naprzód, by zająć miejsce wczorajszych, których już nie ma.

Na ich widok, smutek i żałoba ustępują nadziei. Ruiny mniej ponure, wschód słońca weselszy.

Co za widok żołnierzy maszerujących przy promieniach wschodzącego słońca. Przespali się

w czarnych dziurach transzy, żołądki próżne, nogi w wodzie, jedyne światło, nadzieja zwycięstwa. Ta piechota w zniszczonej odzieży, z zarostem na twarzy jak legendowi rycerze, wraz zaczyna wesołą piosenkę:

„Wilhelma głowa,
Spaść nie gotowa,
Lecz ją zdobędziemy,
Gdy mężni będziemy!”

Nieprzyjacielskie aeroplany w pełnym locie unoszą się nad nami. Drapieżne ptaki, co czatowały ukryte, zataczają koła w powietrzu. Podniósł się wspólny okrzyk: „Zestrzelić te kukułki!”

Wszystkie ognie w górę w dyrekcyi drapieżnych sępów. Hałas zniża się, skrzydła złamane opuszczają się, maszyna obala się w dalszej przestrzeni, głosy radości wyrywają się z piersi żołnierzy.

One nie są niebezpieczne, ale nam zasłaniają piękne francuskie niebo! Na tę chłopięcą uwagę ozwały się głosy Niemców, którzy nie żartują, nie śmieją się, ale zawsze huczą i grożą. Sygnał awiatora został zrozumiany. Armaty zawyły z furyą, kule posypały się. Padają na prawo, na lewo, wszędzie. Kilka głów pochyliło się, ciała osunęły się na ziemię, ale wojsko idzie dalej w porządku. Nagle miecz pułkownika rozpruł powietrze przy pochyłości pogórka.

Był to znak zatrzymania się. Wszyscy stanęli nieruchomo, oczy wzniosły się w górę, gdzie sunęła

się śmierć, z której oni śmieli się. „Niech oni sobie warczą, niech lecą, rzekł pułkownik wskazując w górę, a my pójdziemy wysłuchać Mszy św. Duroy był tam. Postępował za kolumną wojska w roli sanitaryusza do nosz.

„Księże dobrej woli!” zawołał pułkownik.

Duroy wystąpił naprzód. „Obecny!”

Tam na lewo widzę zachował się kościół, mały, biały, widzicie? Kto chce Mszy wysłuchać? zapytał główny oficer. „Ja, ja, ja!” Ręce podniosły się do góry. Widzę, że wszyscy. Dobrze.

Będziemy prosili Boga, by nas uczynił odważnymi i dał zwycięstwo! Odgłos radości przebiegł całą kolumnę. W tem trzy zabłąkane granaty padły wśród żołnierzy. Dwóch ludzi zabitych, dziewięciu rannych. Regiment właśnie wchodził do świątyni, reszta została, patrząc przed duże drzwi otwarte na ołtarz, gdzie paliły się dwie małe świece. Seminarzysta ulokował się sam przy harmonium i ładnym tenorem śpiewał hymn nadziei i pokoju, przyjęty przez naszych żołnierzy:

„Nous voulons Dieu dans notre armee
Afin, que nos jennes soldats,
En defondant la France aimee,
Soient des heros dans les Combats.”
My chcemy Boga w Armii całej,
By nasi młodzi żołnierze,
Broniąc odważnie Francyę drogą,
Rośli w dzielności i w wierze!

Piękny, uderzający widok przedstawiał regiment cały co już otrzymał chrzest krwi, śpiewający pod sklepieniem świątyni, gdy ksiądz-żołnierz odprawia Najśw. Ofiarę, by ściągnąć błogosławieństwo Boże na tych, co dziś jeszcze żyją, a jutro mogą nie żyć.

Na zewnątrz warkot granatów, które padają i wiercą się na miejscu nie szkodząc nikomu.

Piechota przed kościołem nie rusza się, kule lecą naokoło, zdaje się, że straciły swą zabójczą własność. Żołnierze modlą się. Nieprzyjaciel, co atakuje bezbronnych, obala kościoły, jest bezsilnym wobec modlitwy, tej ludziom wydrzeć nie zdoła, którzy widzą przed sobą niebo i tryumf Ojczyzny.

Duroy na zabłocone i skrwawione przy rannych ubranie wkłada Albę z koronką, co się krwią zafarbowała. Wznosi modlitwy pokoju, przy akompaniamencie armat, lecz każdy wie, że ten pokój i zwycięstwo musi być okupione dobrowolną ofiarą. Innej drogi nie ma.

Żołnierze to rozumieją. i dla tego z takiem przejęciem się słuchają Mszy św., tak spokojnie tu stoją chociaż naokoło świszczą kule.

Chwilami hałas ustaje, cisza otacza kościół, w którym 1200 ludzi jak jeden, nieruchomie wsłuchani w słowa kapłana, przemawiającego do nich o prastarej ojców wierze, długo zaniedbanej, a teraz rozbudzającej się nanowo w ich duszach.

Dawno nie słyszane słodkie słowa Chrystuso-

wej nauki, mile brzmią w ich uszach, przenikając do głębi rozgrzewają serca żołnierskie.

„Wojna czyni nas dojrzałymi, mówi Duroy, będąc ustawicznie w niebezpieczeństwie, zrozumieliśmy wielkość naszego obowiązku. Bóg, który zażądał od nas cierpienia i życia, darzy nas nadziemską pociechą, w uczuciu zadowolenia, że jesteśmy wybrani na męczenników, na obrońców znieważonych praw narodu, na bohaterów wolności. Krew nasza będzie cennym okupem swobody kraju i zwycięstwa Ojczyzny.

Kula, która zabija, otwiera nam wrota nieba.

Idźcie na śmierć za Francyę z wiarą w duszy i z modlitwą na ustach. Paść za Ojczyznę, to nie znaczy umrzeć, to na skrzydłach miłości Boga i kraju ulecieć do szczęśliwej wieczności.

Duroy sam podniecony ważnością chwili, powtórzył zwrotkę Deroulete:

„En avant! tant pis pour qui tombe
La Mort n'est rien, vive la tombe,
Si le pays en sort vivant
Eu avant!
Naprzód, cóż że padniesz,
Śmierć jest niczem,
Niech żyje grób!
Jeśli Ojczyzna zeń zmartwychwstaje,
Niech żyje śmierć, co Jej życie daje.

Eu avan! Naprzód! Na to słowo podniosły się głowy, wyprostowały ciała, zaiskrzyły się oczy.

Pragnienie iść „la bas” gdzie się oddaje życie, zapaliło młodzieńcze serca.

Stanie tam ściana piersi ludzkich, het, niedaleko kościoła, stawiająca opór nieprzyjacielowi.

Żołnierze zaśpiewali Credo ze zwrotkami do chwil obecnych ułożonemi. Ogłuszający ryk wojny mieszał się ze spokojną harmonią ich głosów i utwierdzał wiarę w to, co ich usta wyrażały:

„Wierzę w ciała zmartwychwstanie, tego ciała poszarpanego, zmiażdżonego, może rozszarpanego w kawały.

„Wierzę w wiecznie-trwałe życie, któremu kule i bagnety otworzą niebios podwoje.

„Wierzę w szczęśliwość wieczną, za ofiarę, za cierpienie, za miłość Boga i Ojczyzny, itd.

Msza św. postępuje dalej, przy cichym brzęku różańców, bo wielu żołnierzy nosi je zawsze przy sobie.

Nabożeństwo skończone.

Kapłan-żołnierz dał ostatnie błogosławieństwo. Pobyt w domu bożym skończony, ruszają dalej w wojennym pochodzie. Energia chłopaków podniesiona, modlitwa wlała spokój, rozgrzała wiarę w ich młode dusze.

Ze znakiem krzyża na czole, silniejsi się czują, niż w stalowym hełmie. Naprzód! Za Ojczyznę! Może nigdy nie szło wojsko spokojniej na śmierć.

Od stopni ołtarza śle Duroy ostatnie błogosławieństwo i pożegnanie.

Nagle huk piorunu i trzask na dachu kościoła, wstrząśnięte ściany zadrżały, z wiązań sufitu posypały się plastry tynku i cegły. — Niecna to robota wroga, burzącego świątynie. Na zewnątrz wycie, grzmoty armat rozlegają się po dalekiej opustoszałej okolicy.

Rzucają się do drzwi ci, co jeszcze nie wyszli.

Nie, nie, my tak umrzeć nie chcemy!

Ściany chóru zachwiały się, zarysowały półkole i padły, kurz zasypał oczy. Duroy jeszcze w Albie białej jak duch spokoju, wśród zniszczenia, stoi nieruchomy przy ołtarzu. Adjutant wpada, biegnie ku niemu, wskazuje na niebezpieczeństwo, polecając, by uchodził, a widząc jego opór, chce go zmusić, ale ksiądz nie rusza się.

„Nie mogę, to mój obowiązek. Co! woła oficer, obowiązek dać się żywcem zasypać w walącym się kościele? Ksiądz wskazuje spokojnie na tabernakulum. Muszę ocalić Najśw. Sakrament i obraca się, by wyjąć zakonsekrowane Hostye.

Tylna część ściany za ołtarzem oddziela się, belka pada tak, że ani ołtarz, ani ksiądz nie są uszkodzeni. Od drzwi kilku głosów krzyknęło: „Księże, ratuj się! Ocal siebie, tyś nam potrzebny!

On nie siebie chce ocalić. Jego odwaga kapłańska mówi mu, iż powinien tam pozostać, a odwaga żołnierska podtrzymuje heroizm kapłana. Spada ogromny kamień, sypie się tynk, ciemno od kurzu. Oficer, będący nieco opodal rzuca się ku niemu, by go od rumowiska odciągnąć, myśli, że jest raniony.

Duroy robi usiłowania, lecz na próżno teraz, Tabernakulum zagrzebane w gruzach.

Tu odkrywa się wspaniała scena, zasługująca ozdobić kartę historyi wojny; Żołnierze biegną pomódz księdzu wyciągnąć cyboryum.

Czekaj Ojcze, my ci pomożemy wydostać le Bon Dieu (Pana Jezusa) stamtąd. Mocne ich ramiona, przywykłe do kopania transzy, odepchnęły wielki kamień i rumowisko. Ks. Duroy, drżący teraz ze wzruszenia unosi Najświętszy Sakrament, a wybawcy Boskiego Więźnia poklękali, schylając głowy, bez obawy wiszącej nad nimi śmierci.

Oficer chciał by już wyszli, ale jeden z nich, śmiejąc się, wyciągnął z zanadrza garść świeżych gwoździków, zerwanych przed chwilą w opuszczo nym ogrodzie:

„Przepraszam cię serdecznie Adjutancie, jedna sekunda, a złożę to przed Najświętszą Panną. jako pamiątkę od naszego Regimentu.”

ROZDZIAŁ VI.

Uśmiech w cierpieniach.

„Ja dość dostałem, by śmiać się i płakać”, rzekł jeden biedak do mnie z całą prostotą. Noga jego okrutnie uszkodzona trzymała go długo wśród nas.

Ci ranni żołnierze, nie wiedząc o tem, dawali nam znakomite lekcye cierpliwości, odwagi, heroizmu.

Dla nich cierpienie jest jak kula, musisz ją znosić, gdy wydobyć nie można.

Francuska wesołość i dowcipne żarty były na dobie u cierpiących żołnierzy.

Wesołym śmiechem głuszyli boleści, czasem jednocześnie z jękiem wyrywającym się mimowolnie, powstawał dziecinny śmiech, udzielający się wszystkim. Śmiano się. Jeden z Bordeau miał komiczny zwyczaj patrzeć w lusterko podczas bolesnego opatrunku ran jego i żartować z siebie. „No chłopcze, wyglądasz teraz jak pruski bagnet. Czekaj, zgrubiejesz jak wieloryb, ale siedź cicho, ani nie piśnij!" Gdy ujrzał butelkę z jodyną, której każda kropla paliła ciało, wydawał komendę, jak do ataku, dla ukrycia tortur bólu. Śmieszył wszystkich, a ból wyparowywał ze śmiechem. Gdy boleśnie oczyszczano jego głębokie rany, naśladował chrzęst bagnetów, sapanie walczących w bliskim borykaniu się o życie, lub śmierć. Tu, jak „la bas" znosił cierpienie bez wzdrygania się a gdy zbliżyłem się do jego łóżka, by mu powiedzieć kilka słów uznania, podziękował mi serdecznie za współczucie. „Cóż robić Ojcze, trzeba spełniać swój obowiązek tak tu, jak i tam. Wszędzie walka, tam z Prusakiem, tu z cierpieniem!"

Uważał to za swój obowiązek. Jaka szlachetna dusza. Czasem gdy po nocy bezsennej czuł się bardzo wycieńczony, prosił mnie do siebie. „Ojcze, dziś nie mam siły śmiać się, a boję się jęczeć, pro-

szę Cię, pomódl się trochę przy mnie i zostań przy mnie w czasie opatrunku.

W takich chwilach ściskał mocno mą rękę i to mu pomagało do ukrycia okrutnego bólu. Pomiędzy księdzem a rannym żołnierzem wywiązywał się bratni stosunek, raczej wymiana odwagi i rezygnacyi. Po opatrzeniu go, doktor major poszedł do łóżka Prusaka rannego, wziętego przez nas z pola walki. Miał on wielką drzazgę żelaza w kości. Co rana doktor opatrywał tę wielką ranę i powtarzał, jakby z wątpliwością: „Byle się udało wyciągnąć tę stal z niego! muszę to koniecznie zrobić.

Ale Majorze, zawołał nasz chory z Bordeau, zostaw to mu, on powinien być zadowolony, że coś od nas dostał! Może to odłamek katedry, który on chce dać Kajzerowi na pamiątkę.

Doktor pogroził: „Zostaw go w spokoju.”

Wszyscy okazywaliśmy wiele uprzejmości dla rannego nieprzyjaciela. Rzucano mu papierosy, które łowił zręcznie. Miał on zwyczaj krzyczeć straszliwie przy opatrunku, zdawało się, że popękają okna. Nie przerywaj Pan tej melodyi, bo to z Wagnera, wołał nasz wesoły żołnierz.

Prusak otoczony ciągłą wesołością, nakoniec sam przestał krzyczeć, a zaczął się śmiać z bólu za przykładem naszych chłopaków. Wtedy nasz z Bordeau zaczął go uczyć po francusku. Zapomocą gestów i słów doszedł do tego, że Prusak nauczył się ze śmiesznym akcentem „Za fa pocoup-

mieux!" Już mi jest znacznie lepiej i mówił to doktorowi dla wyrażenia bólu. Doktor zganił ten złośliwy żart z cierpiącego człowieka. Żołnierze złożyli się po parę centów i kupili mu butelkę wina i papierosów.

Pomyślałem wtedy o naszych rannych w niewoli pruskiej, czy też doznają podobnego obejścia się, o listach od żon znajdywanych w kieszeniach pruskich żołnierzy wziętych do niewoli, gdzie ze zjadliwą złością, zachęcają ich kobiety, by nas mordowali, niszczyli życie gdzie się da.

Nasz Prusak był prawie pieszczony w szpitalu rannych. Cokolwiek delikatniejszego dostawali nasi chorzy i on zawsze dostawał.

Uważaliśmy go jako zdobycz, w którym trzeba uszanować bezsilność, rany, ofiarę.

Żałowaliśmy owego żartu z bezbronnego, ale raz nauczywszy się powtarzał on pijąc wino „Za fa pocoup mieux" „Coraz mi lepiej."

Był on lepiej odżywiany i traktowany w naszej niewoli, niż teraz we własnym kraju, gdzie nie tylko strzelają do rannych, bliskich śmierci z obozu naszego, ale i swoich śmiertelnie pokaleczonych nie każą zabierać do szpitali, gdyż kuracya i utrzymanie za wiele kosztuje, jeśli nie ma doprowadzić do zdrowia.

To fakt znany dobrze.

Chrześcijańskie miłosierdzie, miłość bliźniego co z wiary płynie, cnoty ludzkie, uświęcone myślą Bożą, wspaniałe braterstwo wszystkich ludzi,

gdzie niesienie pomocy jest słodkiem zadaniem, a z heroicznego poświęcenia, czyni się obowiązek, to w obecnej walczącej Francyi zakiełkowało silnie i wzrosło pod tchnieniem religii przez udział w wojnie duchowieństwa.

Tę dobroć z niebios płynącą poznali różni żołnierze, pozbierani przez księży sanitaryuszów ze straszliwego „la bas” z pod gradu kartaczy.

Co do mnie, mówił młody żołnierz z Bordeau, podniósł mnie i zabrał na nosze sanitaryusz bez wąsów, jak ty księże. Jemu nie kazano tego robić. Był tam iście piekielny ogień artyleryi.

Medyczna obsługa nie jest obowiązana tam iść. Główny doktór mu to wyrzucał. Słyszałem jak mówił: „Mój księże straciłeś głowę. Już ze sto razy ryzykowałeś być zabitym.

Młody seminarzysta odpowiedział:

Ja tak rozumiem mój obowiązek na wojnie, doktorze.

ROZDZIAŁ VII.

Dzienniczek Duroy doszedł mnie po rozmaitych krętych drogach przez Francyę; zawiera znakomite wieści nadziei wznoszącej się ku niebu z całego kraju.

„Jestem jak żniwiarz, spieszący po dojrzałe kłosy, których nie ma czasu związać w snopy. Można powiedzieć, że pioruny walki poruszają niebiosa, a te otwierają szeroko swe podwoje. Pan

Bóg uśmiecha się łaskawie, zaniedbana wiara rozbudza się i rośnie, popychając do stokroć większych dzieł, niż dawne legendowe epopeje.

Czytając te słowa, nie mogłem oprzeć się wzruszeniu radości, płynącem z niewyczerpanego źródła chrześcijańskich idei.

Pruskie armaty uderzają w Francyę, szarpiąc ją i paląc, rozbudziły długo śpiącego w niej ducha św. Ludwika, Joanny d'Arc i innych wielkich postaci, które teraz unoszą się po nad tymi, co w krwawych wysiłkach i nadludzkiej odwadze, przyzywają ich orędownictwa.

Okoliczności rzuciły Duroy na front linii okopów, zdobywanych i odbieranych cztery razy z kolei.

Można sobie wyobrazić, co się tam działo, jaka rzeź, ile z obu stron trupów! Pracuje on tam heroicznie w swem zadaniu; podtrzymuje, pociesza, uspokaja zatrwożone dusze. Roboty nie brak na wsze strony. Na tem krwawem polu ciała rozrzucone tysiącami. Krzyki boleści wydobywają się chrapliwie z rozdartych gardzieli. Dzikie skomlenie tych co szamocą się w deliryum, dreszczem przejmuje, a ręce ich wznoszą się w desperackim przywoływaniu pomocy.

Idzie więc ten dobry samarytanin przez te krwawe pole, nawiedza te pozostałości ludzkiego życia, te ruszające się łachmany ludzkiego ciała, nieraz w strzępach, lub leżące bezwładnie pod płaszczem czerwonym krwi. A tyle, tyle tego!

Od kogo zacząć? Ksiądz tu spędza całe godziny i dłużej. On widzi duszę nieśmiertelną w każdem zniszczonem ciele i gorąco pragnie dopomódz jej do zbawienia, w tej krytycznej, a stanowczej chwili. Chciałby być najprędzej przy tym, co już umiera i najbardziej go potrzebuje, chociaż wzywać już sił niema, ale wobec nawału takich sytuacyi, czuje swą niemoc, a jakże to boli!

Musi go podnieść, nim pocieszy, ułożyć na nosze nim rozgrzeszy. Łatwiej jest schylić się nad głową umierającego, którego oczy już się zamykają, obudzić żal i szepnąć akt skruchy, podnieść rękę dla udzielenia ostatniej absolucyi.

O, gdybyś wiedział, ile już nieraz cierpię, nie mogąc wszystkiemu podołać. Chciałoby się rozdzielić na części i pospieszyć do każdego biedaka, żadnemu nie dać umrzeć bez pojednania się z Bogiem, jeśli tego potrzebuje, każdego usposobić do dobrej śmierci.

Myślę, że Bóg miłosierny zadawalnia się tu jednym zwrotem ku Niemu tej cierpiącej duszy, jednym krótkim aktem, by darować przewinienia i otworzyć jej swe ojcowskie ramiona. Nie mogąc być przy każdym, wyciągam me ręce, (na to stan kapłański mi pozwala) i wołam z głębi duszy do Boga, by wejrzał na te tortury ciała i ucisk wewnętrzny, by okazał miłosierdzie nad tą młodzieżą co oddaje swe życie w idei obowiązku.

O Panie! litości nad tymi żołnierzami, przecież walka o królestwo Twoje we Francyi, to walka

za Ciebie! — I ruszam dalej. Nieraz pragnąc podnieść tego, co jeszcze dysze, podnosi się trupa.

Opodal, oparty o drzewo stał ranny żołnierz, nieco starszy wiekiem, jacy jeszcze nie byli mobilizowani. Cierpliwie wstrzymywał dłonią krew walącą się z lewej strony piersi. Nie wołał o pomoc. Milczał.

Na twarzy wyraz szlachetnej rezygnacyi, prawie obojętność. Rysy te wyrażały silną determinacyę wychylenia kielicha cierpień do dna bez skargi.

Gdy dwaj sanitaryusze zbliżyli się doń, blade usta żołnierza uśmiechnęły się, oczy zaiskrzyły się jeszcze nie zgasłą odwagą. Moc jego ducha widniała w wysiłku zapanowania nad bólem.

Co ci jest mój bohaterze? Na to pytanie nie było odpowiedzi. Podniósł jedyną rękę, mającą nieco władzy, wskazał na mnóstwo ciał skrawawionych, potrzebujących natychmiastowej pomocy. „Zajmij się najpierw tamtymi! Nie ma potrzeby troszczyć się o mnie."

Sanitaryusz nalegał, by go zabrać na nosze.

Najpierw zabieraj tamtych, możesz potem przyjść po mnie. Jesteś w tem samem położeniu, co i oni, zabiorę cię teraz, ale przybrał głos rozkazujący: „Tamci są pierwsi, zostaw mnie!" Nie było rady, zostawiliśmy.

W godzinę potem, gdy oddział Duroy przechodził tamtędy, ksiądz zbliżył się ku niemu.

Teraz zabierzemy cię mój przyjacielu. Nagle zajrzawszy mu w twarz wydał okrzyk zdziwienia. „Ach to ty księże! Jesteś ranny?”

Schylił się, by rozpiąć ubranie. Boże! toć to okropne!

Poznał w nim proboszcza z sąsiedniej mu parafii, którego wiek, zwalniał od służby wojskowej na teraz.

Tak, to ja. Jestem tu, bo tak się należało. — Przyszedłem powiedzieć moje ostatnie kazanie, a myślę, że będzie najlepsze i zaśmiał się jak żołnierz.

Gdy Duroy tamował krew, drugi sanitaryusz usłyszał taką historyę: „Zabierano mi pod broń młodego parafianina, trochę mu ciężko było rozstać się z rodziną, 5ro dzieci, a 6te wnet przyjść mające. Zamieniłem go — no, i cóż wielkiego, on pozostał, a ju tu jestem jak i wy wszyscy. — A teraz mój księże, wysłuchaj moją spowiedź, gdyż czuję, że trzeba spieszyć.”

Udzieliłem ostatniego namaszczenia kapłanowi-bohaterowi, który sam na wszystko odpowiadał. Zabrano go na nosze, ale nie wiem, czy żyje jeszcze, modlę się za niego, tak jak gdyby nie żył. Bóg przyjmuje podobne ofiary. Francya potrzebuje wiele zadość-uczynienia, nie tylko z krwi żołnierzy, ale i kapłanów.

O jak żyźnem nasieniem jest ta krew przelana walecznie! Biedna, zaniedbana religijnie młodzież, często bez chrztu zostawiona, biegnie sama

po chrzest przed mobilizacyą, inni do spowiedzi i Komunii św. dawno nie praktykowanej.

I nie chowają swej wiary pod korzec, ale praktykują odważnie, tak, że całe bataliony zamieniają się w święte drużyny jakby pierwszych krucyat z pieśnią pobożną na ustach i z Bogiem w sercu.

„Lewa noga złamana w dwóch miejscach, piersi przeszyte dwoma kulami, ale nie śmiertelnie. Zabierze to wiele tygodni czasu.” Takie raporta o dwóch rannych, którym opatrywałem rany.

Sami mi opowiedzieli całą historyę.

Pozwoliłem jednemu mówić, gdy drugi palił fajkę: „6go września mieliśmy czas gorący nad Marną. Dość siedzenia w transzach jak psy w budzie, przyszedł nareszcie czas iść naprzód.”

„Już 4 dni siedzieliśmy w okopach jak szczury w zamkniętej pułapce. Kości zesztywniały, ani się wyprostować, wilgoć dojmująca przenikała nawskróś.”

Oj, jakby się chciało wylecieć, zatańcować ze spiczastym hełmem, co tam na nas czyha, wysunąwszy pazury, — ale nie było rozkazu. Miarkowaliśmy, że wnet się taniec zacznie. Dali nam gorącej kawy, a smakowała lepiej niż nasz szampan niemcowi.

Słuchaj-no, mówię do Plateau, a czy ty pamiętasz hasło? A ktoby go nie pamiętał? „Naprzód, lub zgiń!” To pomysł majora Dargis. Dziś nie będzie nic innego, tylko „naprzód, albo giń:”

„Wiesz co, chłopcze, nie szkodziłoby się wyspowiadać.”

„I ja tak myślę.”

Był w transzach ksiądz sierżant, rezerwista, żołnierze nazywali go małym „Cure”. On czasem mówił nam małe kazanie, ot tak: słuchajcie chłopcy, będzie nam niedługo gorąco, a nie jeden z nas nie wróci do tej dziury, albo go przyniosą bez ręki lub nogi. Nie bójcie się, dobry jest Pan Bóg dla swych dzieci, ale idźcie tam nie z djabłem na ustach, jak robią jego przyjaciele, a nasze wrogi, ale z Bogiem w duszy i z wezwaniem Jego świętego imienia.

Wasze bagnety błyszczą i guziki wyczyszczone na spotkanie się z wrogiem, niechże i dusza będzie jasna i czysta, bo tam, za ścianą wieczności, czeka was wasz Ojciec niebieski z roztwartemi ramiony.

Tak to nieraz przemówił mały „Cure.”

Słuchaj Plateau, idź-no go poszukaj. — Znalazł. „Ojcze, czy możemy na osobności parę słów z tobą pomówić, bo, bo, wiesz, przed bitwą, to lepiej być z duszą czystą jak bagnety.”

No klękaj, a mów cicho, by drugi nie słyszał. I wyciągnął z kieszeni małą stułę. Potem drugi ukląkł, trzeci, dziesiąty. Jeden się na drugiego zapatrywał, każdy chciał mieć duszę wyczyszczoną lepiej od guzika.

Teraz powiada mały „Cure”, gdy skończył, mogę was zapewnić, że będziecie tam dobrze przyjęci —za ścianą wieczności i nagroda was nie ominie.

po chrzest przed mobilizacyą, inni do spowiedzi i Komunii św. dawno nie praktykowanej.

I nie chowają swej wiary pod korzec, ale praktykują odważnie, tak, że całe bataliony zamieniają się w święte drużyny jakby pierwszych krucyat z pieśnią pobożną na ustach i z Bogiem w sercu.

„Lewa noga złamana w dwóch miejscach, piersi przeszyte dwoma kulami, ale nie śmiertelnie. Zabierze to wiele tygodni czasu.” Takie raporta o dwóch rannych, którym opatrywałem rany.

Sami mi opowiedzieli całą historyę.

Pozwoliłem jednemu mówić, gdy drugi palił fajkę: „6go września mieliśmy czas gorący nad Marną. Dość siedzenia w transzach jak psy w budzie, przyszedł nareszcie czas iść naprzód.”

„Już 4 dni siedzieliśmy w okopach jak szczury w zamkniętej pułapce. Kości zesztywniały, ani się wyprostować, wilgoć dojmująca przenikała nawskróś.”

Oj, jakby się chciało wylecieć, zatańcować ze spiczastym hełmem, co tam na nas czyha, wysunąwszy pazury, — ale nie było rozkazu. Miarkowaliśmy, że wnet się taniec zacznie. Dali nam gorącej kawy, a smakowała lepiej niż nasz szampan niemcowi.

Słuchaj-no, mówię do Plateau, a czy ty pamiętasz hasło? A ktoby go nie pamiętał? „Naprzód, lub zgiń!” To pomysł majora Dargis. Dziś nie będzie nic innego, tylko „naprzód, albo giń:”

„Wiesz co, chłopcze, nie szkodziłoby się wyspowiadać.”

„I ja tak myślę.”

Był w transzach ksiądz sierżant, rezerwista, żołnierze nazywali go małym „Cure”. On czasem mówił nam małe kazanie, ot tak: słuchajcie chłopcy, będzie nam niedługo gorąco, a nie jeden z nas nie wróci do tej dziury, albo go przyniosą bez ręki lub nogi. Nie bójcie się, dobry jest Pan Bóg dla swych dzieci, ale idźcie tam nie z djabłem na ustach, jak robią jego przyjaciele, a nasze wrogi, ale z Bogiem w duszy i z wezwaniem Jego świętego imienia.

Wasze bagnety błyszczą i guziki wyczyszczone na spotkanie się z wrogiem, niechże i dusza będzie jasna i czysta, bo tam, za ścianą wieczności, czeka was wasz Ojciec niebieski z roztwartemi ramiony.

Tak to nieraz przemówił mały „Cure.”

Słuchaj Plateau, idź-no go poszukaj. — Znalazł. „Ojcze, czy możemy na osobności parę słów z tobą pomówić, bo, bo, wiesz, przed bitwą, to lepiej być z duszą czystą jak bagnety.”

No klękaj, a mów cicho, by drugi nie słyszał. I wyciągnął z kieszeni małą stułę. Potem drugi ukląkł, trzeci, dziesiąty. Jeden się na drugiego zapatrywał, każdy chciał mieć duszę wyczyszczoną lepiej od guzika.

Teraz powiada mały „Cure”, gdy skończył, mogę was zapewnić, że będziecie tam dobrze przyjęci —za ścianą wieczności i nagroda was nie ominie.

O mój Boże, co też to się działo za dwie godziny później! Komenda, bębny i wnet sałata z mundurów, hełmów, ludzi i koni. Trupy padały. Nasz batalion był strasznie zmasakrowany.

Głowy naszych towarzyszy leciały, nogi porozcinane na cztery części. Oj, warto było wyczyścić duszę!

Ja i Plateau uszliśmy z całą skórą. Boże, co za dzień! — Można było zwaryować.

My dwaj nic nadzwyczajnego nie zrobili, a major Dargin podszedł do nas i powiada: „Winszuję wam chłopcy, jesteście dzielni, wymienię was w dzisiejszym raporcie.

Ja naprawdę, nie wiem za co, bośmy nic innego nie robili jeno walili w Hunów, jak kowal młotem w żalazo, ale nasz oficer myślał inaczej i mówił o odznaczeniu.

Słuchajcie chłopcy, mam trudną robotę, kto się jej podejmie?

Ja, ja, zawołaliśmy razem!

Dobrze, idźcie i wleście na tamtem pagórek, gdzie stoi krzyż. Stamtąd zobaczycie strzelby Hunów i wróćcie mi powiedzieć, a miejcie wytrzeszczone oczy. A co będzie, zapytał zabawnie Plateau jak nas na dwoje przetną, nim zajdziemy?

Major zaśmiał się. No, to mi przyślecie wasze kawałki. Poszliśmy. Panie Boże, co też to była za robota!

Gdy Prusacy spostrzegli nas włażących na pagórek, jak nie zaczną strzelać! Naprawdę, jakby do całego szwadronu. Oprócz strzelb, zahucza-

ły armaty. Aż śmiech człowieka bierze. Armaty do nas dwóch!

Plateau wyjął fajkę z ust i zaczął się trząść ze śmiechu, powtarzając: „Armaty na nas dwóch!” Powaryowali, albo im się w ślepiach troiło.

No, pomyślałem, aleśmy coś warci, kiedy puszczają baterye o 77 na nasze biedne pięty w dziurawych butach. Kiedyśmy doleźli na wierzch pagórka, Plateau nagle ukląkł pod krzyżem, wzniósł oczy na Pana Jezusa i zaczął się modlić, a ja to samo, bo zawsze słucham mędrszego odemnie.

Była-to modlitwa jego układu, mniej więcej tak: „Panie Boże, mały „Cure” mówił, że dawno, dawno temu Tyś za nas umarł, my teraz gotowi zrobić to samo za Ciebie, ale teraz nie daj nam zginąć, ale niech o nas major wspomni z honorem w dzisiejszym raporcie.” Teraz robota! Podniósł się, ja za nim, patrzymy. Wojsko pruskie na lewo pod lasem. Dobrze, teraz możemy wywracać koziołki na dół z pagórka. W tem paf, paf, paf! Szrapnel leci prosto we front krzyża, a po kawale żelaza pakuje się w nogi nas obu. Przewróciliśmy się w powietrzu i padli. A czy ty żyjesz? pyta Plateau. Myślę, że tak. A ty co? A no, nie wiem, czekaj jeszcze. I popełzł na dół, a ja za nim, ależ mi było trudno, bo się nożysko zrobiło ciężkie, ważyło chyba z tysiąc kilogramów.

Jednak, zrobiło się coś dobrego, pomyślałem. Dotarliśmy z powrotem. Major uwiadomiony wy-

słał galopem baterye o 75 pod las i wnet las był nasz. Teraz Plateau skończył fajkę i sam chciał mówić:

Toć-by się już człek był dostał do nieba, ale nie był w rzędzie tych, co tam wtedy iść mieli, ale czekaj no ty stary zawadyaku, gdy się z ran wyliżemy, wnet pójdziemy złapać za samą czuprynę tego co swe rogi dyabelskie pod spiczasty hełm scnował, a jak nas swym kopytem kopnie, to się i w niebie znajdziemy, a jego za ogon pociągną kamraty na ucztę do Lucypera.

I śmiali się oba do rozpuku, nie rozumiejąc całej doniosłości swego poświęcenia. Ale ja wysłuchawszy tego opowiadania, widziałem w nich dusze niepospolitej wartości, których odwaga zapanowała nad brutalną siłą i pokonała ją w tem zdarzeniu.

ROZDZIAŁ VIII.

Łatwo sobie wyobrazić, że szpital nie zawsze bywa wesoły. Twarze leżących i ich dusze nie pozbyły się jeszcze wrażenia i wyrazu przebytych okropności, chociaż czasem w największym bolu, nie jeden wybuchnie śmiechem z całych płuc swoich.

Dotąd pisałem o wesołem znoszeniu cierpień, o tym niezrównanym humorze francuskiego żołnierza, co umie ukryć ból, by rozweselić drugich dowcipem.

Nie wszyscy mają taki miły temperament, a był to szpital wspólny dla wszystkich biorących udział w wojnie. Mieliśmy infanteryę, kawaleryę, artyleryę, żuawów, Senegalczyków, nawet Turczyn się zamięszał. Istna arka Noego z wieżą Babel.

Każdy z nich przeżywał krwawą epopeję, prawie wszyscy siedzieli w ciemnych transzach po kilka dni, nie mogąc wyprostować skostniałych członków. Wszystko to łączyło ich w jedno braterstwo i byli z sobą, jak dawni znajomi. Nie jednemu zdawało się, że co przeszedł, było tylko snem ciężkim. A nie utyskiwali, nie narzekali nigdy. Najprostszy wieśniak opowiadał swe wojenne przygody z taką prostotą, jakby to były najzwyczajniejsze codzienne zdarzenia.

Leżał tam chłopak lat 22, z nogą w trzech miejscach złamaną.

Czy długo byłeś na froncie? zapytałem z niepoprawną ciekawością?

Od 7go września. I cały czas na linii bojowej?

Prawie cały, a raz nasz regiment 4 dni pościł, nie było czasu co zjeść. Cóż, jak cierpieć, to cierpieć, byle wroga odpędzić.

Był więc we wrzawie całe miesiące, z ciągłą niepewnością nie już o jutro, ale i o następną godzinę. Żelazo i ołów lały się na wsze strony, tysiące padały, on uszedł śmierci szczęśliwie.

W zwykłym czasie, gdyby kto przeżył w tych warunkach pięć minut pamiętałby to i miałby o

czem mówić całe życie. Ten kawalerzysta nie myślał o tem. Znał on gwałty dokonane w Belgii, napady awiatyczne na Paryż, ciężką walkę nad Marną, wypędzanie Prusaków na północ, a zawsze na koniu, ciągłe strzelanie i w noc ciemną i w dzień dżdżysty. Z odwagą, podniecona nadzieją pewnego zwycięstwa, chociaż ciężko zdobytego, puścił się w ściganiu nieprzyjaciela, zmuszonego do ucieczki.

I ten spokojny chłopak, dziecię wiejskiego ludu, okazywał taki zapał patryotyzmu, że byłem dumny z Francyi dzisiejszej, słuchając go. Śmiał się serdecznie, opowiadając jak trzepali Prusaków i walili w nich gdy uciekali. Nad tem ciałem młodzieńca, wychudzonem nadmiernem zmęczeniem i pracą, tryumfowała dusza, hartująca się w twardem życiu żołnierza.

Gdy go raz zapytałem, czy wspomnienia rodziny nie zasmucały go w tych ciężkich chwilach?

Taką mi dał odpowiedź: „Tato, mama i siostry byli ze mną złączeni, gdy walczyłem, wiem, że się za mnie modlili, i więcej mnie kochali i tak wszyscy razem walczyliśmy za miłą Ojczyznę."

Te proste słowa utwierdziły mnie w mojem zapatrywaniu na obecny stan rzeczy w całej tej kampanii.

Gdy młodzież poświęca się i walczy, ich drodzy, pozostali w domach modlą się za nimi gorąco i wytrwale, a to ich podtrzymuje w ciężkich chwilach i wyjednywa ratunek w niebezpieczeństwie.

Te nieustanne modlitwy matek, żon, sióstr i narzeczonych unoszą się nad nimi i w walce i nad stołem operacyjnym i w spokojnem konaniu gdy dusza ciało opuszcza. Nieraz w szpitalu niezwykle szybki bywa powrót do zdrowia, cicha rezygnacya, zupełne zdanie się na Boga, czyż nie są owocami modlitwy drogich im istot?

Jest rzecz pewna, że ponieważ modlitwa stanowi czynnik i siłę przeważną tej kampanii, każdy żołnierz uzupełnia braki i naprawia nie jeden smutny błąd urządzeń wojennych swym osobistym wysiłkiem, dobrą wolą, własną inicyatywą.

„Nigdy nie widziałem tyle różańców, medalików, rzekł mi jeden z polityków, wracający od frontu. Nie przypuszczałem tyle wiary w ludzie francuskim.”

On, co z innymi bezwyznaniowymi, głosował za wyższością świeckich, wolnych zasad nad religią, teraz z respektem dodał: „Gdy ich zobaczyłem modlących się, jak pierwsi komunikańci, zrozumiałem, że z modlitwy otrzymują taką odwagę.”

Pan Bóg schowany i zakryty przed nimi w bezwyznaniowych szkołach, dał się im odnaleźć cudownie, w chwili, gdy instynktownie odczuli, że ich ojczyzna nic nie może bez Jego pomocy. I z entuzyazmem młodych neofitów wyciągnęli ku Niemu ręce o pomoc wyższą nad ludzkie wysiłki. Jeden wieśniak z Szampanii zaciągnięty do wojska, tak mi w swej prostocie ducha powiedział:

„Na wojnę to się prędzej pójdzie bez jedzenia, niż bez modlitwy, a gdy człek Mszy św. wysłucha, to mu walka inaczej idzie, jakoś raźniej na duszy i strach odleci.”

O, gdybyście słyszeli naszych rannych z jakiem przejęciem się, wspominają i opowiadają sobie o Świętych Tajemnicach spełnianych przez ich towarzysza w błękitnych spodniach, kapłana-żołnierza, na brzegu lasu, lub gdzie na polu skopanem na transze!

Nie tylko sama Msza św. wysłuchana przed walką, tak ich odradza i podnosi na duchu, lecz także skutki Sakramentu pokuty, ten paszport do szczęśliwej wieczności, po który zginają kolana przed bratem kapłanem, by wznosząc rękę, sakramentalnemi słowy ściągnął na nich przebaczenie i błogosławieństwo.

Mój ranny chłopak z Dixmude nie dawno tego doświadczył i w wzruszających szczegółach opowiada, a takie opowiadanie, to wierny historyczny epizod dla chrześcijańskich aureoli.

Regiment infanteryi tylko co był przybył na swą pozycyę. Stanął w rezerwie pod małym laskiem sześć kilometrów od lini bojowej.

Za godzinę miał być dany rozkaz komendy, a 3000 ludzi otrzyma chrzest krwawy pod gradem kul i szrapneli. Dla wielu z tych ludzi były to ostatnie chwile życia, a bliski ryk armat jakby sygnał wezwania do wieczności.

W uciszeniu się chwilowem niejeden wniknął w siebie i zdawało mu się, iż słyszy głos swego przeznaczenia nie dla tego, by tracił odwagę, ale rzecz naturalna, że sam umysł ludzki w takiem położeniu tworzy pytanie, co też ze mną będzie za godzinę, trup, czy rozszarpane ciało?

Pułkownik znał swych ludzi, wiedział on, że niedobrze jest w takiej chwili spokoju dopuszczać wyobraźni działać, rozwijającej melancholię, że należy zatem dać im pokarm rzeczywisty, zdrowy dla dusz.

Zawołał sanitaryusza od nosz, młodego porucznika, bez wąsów, który dwa tygodnie temu Mszę św. śpiewał w jego parafialnym kościele.

Oficer o orlim wzroku podszedł, oddał ukłon wojskowy i wnet domyślił się o co chodziło. Obaj spojrzeli na niedaleki mały pogórek, jakby urobiony na ołtarz i stopnie. Pułkownik wskazał na nie. „Księże, rzekł, ci co cię otaczają, są wierzący, wiedzą, że dla niejednego zbliża się ostatnia godzina, pewna z nas liczba zostanie na polu i tam swój grób znajdzie. Przemów do nich o wiecznem życiu, o nadziei po śmierci. Jednem słowem spełnij twój obowiązek.”

Teraz zakomenderował: „Wszyscy, którzy pragną umierać po chrześcijańsku, skupią się przy chorągwi.” Masa żołnierzy utworzyła ciasną grupę. Nie brakło ani jednego. Wzniósł się dźwięczny i przenikający głos, mówiący im o wiecznych prawdach, wyższych nad ludzką bojaźń, nad wszelkie

cierpienia doczesne, o słodkiej nauce Chrystusa, która koi i umacnia.

Po skończonej przemowie, klękano grupami, dla otrzymania absolucyi, potem żołnierze w jednej chwili przystroili pagórek w krzyż z chorągwi i ozdobili rzędami bagnetów. Najświętsza Ofiara odbyła się przy akompaniamencie dalekiej kanonady, Hostya święta wzniosła się ponad głowami żywych ofiar, otucha wstąpiła w serca żołnierzy, już każdy gotów iść na śmierć.

Naprzód! zakomenderował pułkownik. Ruszuli. Nagle zabłąkana kula armatnia wryła się opodal w ziemię, młodzi żołnierze wybuchnęli śmiechem dziecinnym i poszli umierać za Francyę.

ROZDZIAŁ IX.

To, czego się obawiałem i przewidywałem zasmuciło spokojne dni w szpitalu. Przeczucia me spełniły się, biedny Duroy został raniony. Prawdę mówiąc, gdy wieść o tem przyszła, podziękowałem Panu Bogu, że nie stało się jeszcze gorzej. Ten dzielny chłopak, którego nieustraszoną odwagę znałem dobrze, mógł był już nie raz być zabitym na polu walki, a nie wątpię, że zasługiwał na taką nagrodę, na bohaterski koniec prac jego.

„Jestem raniony, pisze Duroy, ale trochę, ot tyle, by widzieć, jak krew płynie i przekonać się, że jest czerwona. Znowu masz za co podziękować Panu Bogu, że w lewą rękę, bo gdyby prawa, jak-

żebyś się zmartwił mój kronikarzu, nie mając wiadomości odemnie. Jednak prawą rękę Huny mi oszczędzili, i ona teraz próżnuje niestety, gdy naokoło tyle roboty, ale przynajmniej będzie ci pisała listy, a ty podasz dobrą porcyę nowin twym czytelnikom. Niedługo otrzymasz pakę papieru zapisanego naprędce. Teraz posyłam ci tylko zapewnienie, że jestem wesół i wdzięczny temu zwierzęciu, co kulą zrobiło we mnie dziurę, gdyż dało możność cierpienia za mą Ojczyznę.

Niektórzy utrzymują, że ci co opatrują rany, sami nie są narażeni na niebezpieczeństwo. Dobrze, że się na mnie przekonają, a ja wiem co odpowiedzieć na taką kalumnię.

Wyobraź sobie, że z ust rannego Niemca słyszałem na własne uszy, że mają specyalny rozkaz z góry strzelać: do wszystkich podnoszących rannych, do noszących nosze, do ambulansów, do czerwonego krzyża.

Wczoraj więc byłem na tem doskonałem rozdawaniu nagród sanitaryuszom schylającym się przy rannych i umierających. Ja dostałem dwie nagrody, ta co w nogę, to się nie liczy, ale w rękę strzał był znakomity, kula nie została, bo wiesz, że twój przyjaciel nic nigdy nie zatrzyma. Dostałem też cięcie w biodro, ale dość ci tych wieści o prezentach ofiarowanych mi od żołnierzy kajzera.

Biedny Duroy żartował, ale pomimo wesołego tonu listu, odgadłem, że rany są poważne.

Nic nie wspomina o okolicznościach, wśród których otrzymał te rany, co pokazuje, że w podnieconem uczuciu swej odwagi, musiał się zapędzić za daleko za rannymi.

Sądząc powierzchownie, powiedzą: „Był nieroztropny!”

We trzy dni otrzymaliśmy list z frontu, pisany o nim przez drugiego. Towarzysz jego pisze to, czego można było domyśleć się:

„Duroy zawdzięcza swe straszne rany poświęceniu się bez granic, tej rzadkiej junakieryi żołnierza, co się z niczem nie liczy. Padł, trzymając się wiernie swej dywizy: „Ksiądz powinien pierwszy spotykać niebezpieczeństwo i śmierć.” Dla tego pierwszy na froncie, stał się celem strzałów drapieżników, a teraz ponosi straszne cierpienia z ran może śmiertelnych.

Towarzysz, czuwający przy nim w nocy, podał mi te wiadomości.

Tego pamiętnego dnia doktor - major od ambulansów zebrał swych ludzi, żądając od nich świeżej ofiary. Było to bardzo blisko nieprzyjacielskich transzów, ledwo 50 jardów od nas, gdzie dwudziestu rannych leżało bez pomocy od zeszłego wieczora.

Niemcy jak dzikie sępy czuwali nad nimi zdala, czekając naszych sanitaryuszy, o których wiedzieli z doświadczenia, że są dość odważni i miłosierni, by przyjść po swych rannych żołnierzy, w boleściach wyczekujących ludzkiej pomocy. Ci

biedacy byli jakby zakładnikami, raczej łupem drapieżników, nie spuszczających z nich oka. Doktor-major zniżył głos pełen wzruszenia i drżący od oburzenia: „Niemcy tam na nas czekają. — Popatrzył na swych ludzi stojących przed nim nieruchomie.

Jest to ryzyko, do którego nie zmuszam, nie narzucam. Wasz obowiązek nie sięga tak daleko. Zresztą nie mam prawa wydawać waszego cennego życia na pewne i wielkie niebezpieczeństwo. A jeśli nie znajdzie się nikt wśród was... Nie dali mu skończyć.

Było tam 38miu i wszyscy jak jeden zawołali: — Ja! z gotowością przyjęcia śmierci.

Doktor patrzał na nich chwilę w milczeniu. Zadowolona duma opromieniła jego twarz, radość jaśniejsza niż cienie śmierci. Cenił wartość tych ludzi, wiedział, że słowa jego decydują o ich losie, że połowa stamtąd nie wróci. Podszedł bliżej ze łzą w oku, z sercem bratnim do swych sanitaryuszy, i rzekł: Dziękuję wam, liczyłem na was, na ten akt heroiczny. Chciał tłómaczyć racyę, dla których powziął to przedsięwzięcie, by każdy tam idący, zdawał sobie sprawę z wielkości potrzeby, wymagającej takiej ofiary, lecz wnet odgadł, iż każdy to doskonale rozumiał.

,Moi przyjaciele, odezwał się, ci co cierpią, mają prawo do naszej litości i miłosierdzia, ileby to nie kosztowało. Wszyscy ranni są kredytorami Francyi, która nam powierzyła spłacanie tego

świętego długu wdzięczności. Ona rachuje na nas każdego dnia, a rachuje podwójnie, gdy jej ofiary są narażone na okrucieństwo katów. Obaleni w walce, nie powinni tam ginąć w upokarzającem opuszczeniu, a co gorsza, wystawieni na znęcanie się i barbarzyństwo Hunów. Jeśli mają umrzeć, niech nie umierają podwójnie pod kulą tych serc zwierzęcych.

Oto dlaczego prosiłem o wspaniałomyślną pomoc dla nich, zresztą zarzuciliby nam tchórzostwo, powiedzieliby, że Francuzi zostawiają swych rannych żołnierzy, gdy widzą lufy ich strzelb i mitraliez.

Teraz tego nie powiedzą. Niech raczej ze swych czarnych dziur admirują naszą odwagę.

Może to waryacki czyn z naszej strony, ale piękny. Jestem szczęśliwy, że się nasze serca i myśli łączą w jednem rozumieniu, a sumienie mówi co mamy czynić.

Drżenie wzruszenia i niecierpliwości przebiegło stojących. Słów im brakło, ale oczy mówiły. Major podszedł bliżej. „Ja potrzebuję tylko dwudziestu.” „Tylko dwudziestu!... Dlaczego nie wszyscy?” Ozwano się. Major z zakłopotaniem tłómaczył: „Nie mogę narażać wszystkich.” „Dla czego reszta ma pozostać?” odezwano się z pewnem niezadowoleniem w głosie.

Tu major spostrzegł potrzebę stanowczości oficerskiej, by położyć koniec niecierpliwemu u-

bieganiu się o wezwanie. „Powiedziałem dwudziestu! ani jeden więcej.”

Jeszcze raz podniosły się wszystkie ręce. Twarz majora przyjęła wyraz surowy. Ukrywając wzruszenie, zawołał głosem komendy:

Dwudziestu najmłodszych wyjdzie naprzód!

Stawianie się odbywało się automatycznie, jak przy mobilizacyi, gdy Duroy obawiając się, że go to minie, wysunął się naprzód. Doktor zrobił ruch ręki przecząco. Mam już wymaganą liczbę.

Duroy cofnął się, zbladł, otworzył usta do protestu, ale żołnierska dyscyplina nie pozwalała mu na to. Zamilkł. Dwudziestu zostało oddzielonych, a pozostali spoglądali na nich okiem zazdrości.

Czy wszyscy czujecie się zdrowi i dość silni do tej expedycyi? zapytał doktor. Wszyscy skłonili głowy potwierdzająco, ale z przeciwnej strony ozwał się protest:

„Nie majorze, nie wszyscy.”

„Kto przemawia?”

„Ja,” rzekł Duroy, wychodząc naprzód.

„Dla czego?”

„Znam jednego z dwudziestu, który biedz nie może, ma ranę w nodze.”

„Który?”

Duroy wskazał na jednego sanitaryusza, to Leroux i podchodząc ku niemu rzekł: Dobrze wiedziałeś, mój drogi, że masz porządną ranę i ledwo stoisz, jakże iść możesz „la bas”. Ach, zo-

staw te żarty, rzekł Leroux. Doktorze, on chce zająć me miejsce.

Doktor obejrzał nogę. Mój Boże, i ty o tem nic nie mówisz? Kiedy się to stało? Trzy dni temu odłamek szrapnela dostał mu się do łydki, rzekł Duroy. Leroux wyprostował się. Czy ja wyglądam na kłamcę? Żołnierze otoczyli go, wzrósł w ich oczach za swą cierpliwość i ukrycie rany. Doktor wziął go na stronę. Dałeś dość dowodów odwagi, potrzebujesz szpitala i opatrunku. Leroux stał smutny. Doktor rzekł łagodnie:

„Zostaw miejsce drugiemu, to też ofiara.” Duroy chciał odpowiedzieć jak się to stało, doktor przerwał. Jesteście jeden drugiego warci. Ksiądz położył rękę na ramieniu rannego, pytając: Czy się na mnie gniewasz? W odpowiedzi obaj się uściskali. Duroy zajął jego miejsce, dusze ich były podobne.

Za kilka minut expedycya wyruszyła. Wycie odgłosów wojennych zawisło na chwilę. Nasi sanitaryusze, biegli naprzód przez odłamy ołowiu i stali, pewni śmierci, ale spokojni i uśmiechnięci.

Biegnąc ciągle, dosięgli wierzchołka wzgórza, oddzielającego ich od płaszczyzny. Stąd, odsłaniało się niebezpieczeństwo w całej nagości: O jakie 500 jardów wielki wał ziemi wzniesiony, z poza którego sypały się tysiące kul zabójczych. Doktor kazał sanitaryuszom ukryć się za grzbietem wzgórza, zasłaniającego od strzałów. Dwudziestu przypadli do ziemi, ale niecierpliwili się, by prędzej

rzucić się do swej pracy. Major zawołał: „Źle zrobiłem, nie miałem racyi posyłać was na tak widoczne niebezpieczeństwo.” Wszyscy jednocześnie odezwali się: Tyle ryzykujemy wracając, co idąc naprzód. Ranni bracia nas czekają, zawołał Duroy.

Ruszyli dalej i wbiegli na miejsce odkryte. Piekielna strzelanina powiększyła się, a donośnie rozlegały się jęki ofiar.

Na te rozdzierające głosy zaczęto biedz prędko w kierunku, skąd pochodziły. Czerwony Krzyż rozjaśnił pole rzezi, a działalność jego okazała się tak piękna, tak uderzająca, że Niemcy przestali strzelać do bezbronnych ludzi. Nasi szli teraz spokojnie w sam środek niebezpieczeństwa, nie patrząc w stronę niosącą śmierć.

Gdy weszli, jakby czekano na to; z każdego punktu poleciały ciche strzały śmiertelne. Dwudziestu zostali otoczeni jakby siatką, a z każdego jej oczka leciała straszna, cicha kula. Było to coś tak podle podstępnego w tych cichych strzałach, że tej zdradzieckiej podłości określić nie można.

Dwudziestu robili swoje. Podnoszono rannych, kładziono na nosze, odnoszono na miejsca dla nich bezpieczniejsze. Ta niesłychana odwaga zdumiewała samych Niemców upojonych krwią i rzezią.

Czasem z ich strony wydarł się okrzyk: „Brawo!” w tych zdziczałych sercach zakiełkowało zgniecione uczucie ludzkości. Niesiono rannych

spokojnie. Nikt nie padł. Jeszcze zostawało trzech do zabrania. Duroy poszedł po najdalej leżącego, u jego bezbronnej ręki wisiał różaniec, skupiona dusza kapłana modliła się w niebezpieczeństwie. Schylił się nad bratem w uścisku śmierci zostającym, nagle, uczuł się nieruchomym. Ciche strzały przeszyły go. Wzięto na cel kapłana. Ciało Duroy obaliło się na ziemię. Jeszcze przezwyciężył ból, nieco się podniósł i prawą ręką nakreślił krzyż absolucyi nad umierającym towarzyszem. Dokonawszy swego zadania, ciężko osunął się w zakrwawioną trawę.

W taki to sposób poniósł ciężkie rany mój przyjaciel Duroy, ksiądz francuski, obalony na polu, jak z szacunkiem ogłosiły depesze.

ROZDZIAŁ X.

Było to w niedzielę. Deszcz lał bez przerwy, podwórze było pełne wody, gałązki krzewów obwisły, szare niebo nie usposabiało do wesołości. Smutek jak szadź na drzewach osiadł na twarzach naszych chorych. O, szkoda, że deszcz; nie będzie dziś tej ciekawej defilady, korowodu wyzdrowiałych kalek i naszych inwalidów, ciągnących co niedziela nad wieczór pod mury sąsiedniego klasztoru.

Jedni opierają się na kulach, drudzy ciągną nogi a bandaże grają ważną rolę, bo to zwraca uwagę pań i panienek idących tam z koszyczkami

papierosów i ciastek, by niemi poczęstować tych zuchów, a w zamian usłyszeć opowiadanie o wojennych przygodach. Tym sposobem dowiedzą się coś czasem i o swoich bliskich. Nie wyciągają ręki jak żebraki, ale chętnie przyjmują małe prezenciki.

Był tam Senegalczyk. Amadon z wielką głową, podobny do orangutana. Lubił on bardzo ten niedzielny spacer. Gdy się jaka pani zbliżyła, powtarzał zawsze te same „Bonzou Matame!, tu vas bieu, toi?” Co w łamanej francuzczyźnie znaczyło: Dzień dobry, jak się Pani miewa. Wyciągał swe długie palce po papierosy, a zamiast podziekowania, wciąż prosił o jeszcze i gotów był zabrać torebkę całą, gdyby go towarzysz nie upomniał.

Jedna dziewczynka przestraszyła się go i płakała, ale matka kazała jej podać mu rękę, bo to także francuski żołnierz i walczył za Francyę.

Mieliśmy kilku ludzi z Senegambii, Gwinei i jednego Beduina, poważnie rannych. Uważali oni za rzecz naturalną walczyć za Francyę i być ranionym. Walczyli spokojnie jak gdyby w grę grali. Raz zapytałem jednego czy nie żałuje swych stron i rodziny? Pokazał mi rząd białych zębów i odrzekł: „Francya jest mój ojciec i matka.”

Opowiadano mi o niezwykłym bohaterstwie Senegalczyków. Pewna nasza dywizya, została zupełnie rozbita, ciężko ranny oficer leżał na ziemi. Niemcy zbliżali się. Czternastu Senegalczyków stanowiło całą ofensywę; mogli byli uciekać i

skryć się, pozycya była odpowiednia, lecz oni otoczyli rannego oficera i oddali życie wszyscy.

Dzielni w boju, w szpitalu łatwo wyłamują się z pod dyscypliny militarnej, to też bywają karani przez lekarzy jak dzieci. Jeden poszedł sobie spacerować bez pozwolenia, za co musiał leżeć pod prześcieradłem dzień cały.

Przy opatrywaniu ran kręcą się, odgrażają chirurgowi, zwłaszcza gdy kroplę jodyny puści na bolące miejsce. Jeden chwycił jakiś przedmiot i chciał weń cisnąć.

Potrzeba bardzo łagodnego wpływu na te gwatowne, nieujarzmione natury.

Jeden z naszych księży podjął się opieki i specyalnego czuwania nad nimi. Znalazł sposób ułaskawienia tych ludzi, ujął ich sobie tem, że traktował uprzejmie, łagodnie wtedy właśnie, gdy ich zachowanie się było grubijańskie, ordynarne.

Taka taktyka wpłynęła dodatnio na te grube natury, pokochali go i dali ze sobą robić co zechciał. Tą drogą i Beduin zrozumiał potrzebę uległości. Nie mówiono do nich wiele, ale na ich wybuchy, okazywano wręcz przeciwny sposób postępowania, co okazało się najlepszą pedagogią.

Gdy podziwiano tak bezgraniczną cierpliwość tego sanitaryusza, rzekł: Przynajmniej, tem biorę udział w wojnie; tam strzelają do barbarzyńców, a ja tu pracuję nad ułaskawieniem gruboskórnych. Gdy wrócą do swych domów, zaniosą tam wspomnienie opieki katolickich księży.

ROZDZIAŁ XI.

Długo oczekiwane wiadomości nadeszły wreszcie, ale bardzo niewiele o mym przyjacielu Duroy. Jedynie tyle, że się ma nieco lepiej, że się czuje zawstydzonym, leżąc na wygodnem łóżku i czystem białem prześcieradle, gdy inni nieraz i słomy nie mają.

W tym szpitalu spotykało się heroiczne cnoty. Kto był bohaterem w walce, był nim i w szpitalu, a kule szarpiące ciało, nie naruszyły szlachetności duszy.

Duroy opisał mi nieco potem piękne poświęcenie się jednego prawie umierającego księdza, by zbliżyć do Boga duszę żołnierza.

Sala szpitalna była posępna ze swymi dwoma rzędami łóżek, w których zbyt ostre cierpienia czyniły sen niespokojny, lub niemożliwy.

W szpitalu tym nie kwitła nadzieja. Znane było rannym, że mogących być ocalonymi, odsyłano dalej, w głąb Francyi, usuwając od wrzawy wojennej, a kto tu pozostał, tak blisko boju, niczego się dla siebie nie spodziewał.

W długich bezsennych nocach biedni chorzy, myśleli sobie: Jeśli nas trzymają tak blisko miejsca, gdzieśmy padli, to zły znak. Karmili się wciąż tą myślą i to ich dobijało, rysy stawały się coraz ostrzejsze, cera przezroczystsza, organizm słabł i tracił siłę odporną wobec cierpień fizycznych i moralnych. Nie słychać tam było wesołego śmie-

chu, ale westchnienia cichej rezygnacyi w poświęceniu się za Matkę Ojczyznę.

W odkupieniu Narodu Opatrzność wymaga nie tylko krwi, ale i takiego moralnego cierpienia.

Głębokie westchnienia, bolesne jęki mięszały się z odgłosem walki. Smutne to było miejsce dla chorych, ale na razie nie podobna było temu zaradzić.

Można powiedzieć, że ten szpital tuż przy froncie walki, był jakby tylko kątem odosobnionym od bojowej linii. A kto wie, czy który z wodzów niemieckich znudzony widokiem czerwonego krzyża, na szpitalnym budynku, dostrzeganym przez jego daleko-widze, nie zakomenderuje ataku i wymordowanie rannych.

W każdym razie, biedacy co tam leżą, nie są wolni od podobnych przywidzeń, a to gorsze niż rany.

Wycie strzałów, huk bębnów dolatuje ich uszu, a wyobraźnia pracuje.

Jakby niepowściągniona pokusa, opanowało ich gorące pragnienie, znaleźć się gdzieś w miejscu spokojnem, daleko od tej wrzawy. Na polu walki śmierć ma swój urok dla młodych rozgorzałych żołnierzy, biegną ku niej ze śpiewem, wszystko tam podnieca ich zapał, pełno atrakcyi i nazwali sobie śmierć skokiem przez próg do wieczności, gdzie spokój i nagroda. Tu, taż sama śmierć wlecze się do nich powoli, grozi, zagląda w oczy i

znowu się cofa by przyjść na pewno po swą ofiarę. To istne męczarnie dla młodego życia.

Tam padają z honorem, tu się leży i leży naprzeciw swego towarzysza o zbolałej, a czasem desperackiej twarzy.

Nie brak i tu troskliwego doglądu i czuwania, religijna opieka otacza ich bratnią miłością i zachęcającym uśmiechem. Mają tu więcej niż braci, są to Siostry. Niewieście serca skłonniejsze do współczucia są troskliwe i delikatniejsze. One ich kochają, nie znając, przynoszą jeszcze promyki nadziei, a przy śmierci modlitwą swą dopomagają do dobrego skonania i w pojednaniu z Bogiem. Śmierć w opuszczeniu jest straszną. Wiedzą o tem żołnierze, więc cenią tę chrześcijańską pomoc i cieszą się obecnością Siostry.

Dobry Pan Bóg nawiedza ich i przemawia do serc, ale najmocniej odzywa się do tych, którzy od dawna o Nim zapomnieli.

Ten, co tam w kącie jęczy, niedawno jest ochrzczony. Włócząc się po świecie, nigdy się nie zastanowił, że ma duszę i że Pan Bóg zażąda kiedyś rachunek z jego czynności. Jeszcze wczoraj bluźnił i naśmiewał się z religii, oświecony i pouczony, dziś zastanawia się, myśli i gotuje się do prędkiego odejścia.

Siostro, ja bym chciał widzieć księdza. Zakonnica popatrzyła na mówiącego, ukrywając łzy, gorące jej modlitwy za chorym nie są bez skutku.

„Księdza!” Wszyscy oni są teraz „la bas” i żołnierze i kapelani, ale może da Pan Bóg, że wieczorem który z nich tu przyjdzie.

„Wieczorem? a czy ja doczekam?”

Siostra pochyliła się nad ciężko chorym usposabiając go do skruchy i pomagając do czynienia potrzebnych aktów. Człowiek ten przed tem był głuchy na głos sumienia, teraz okazywał dobrą wolę. Zakonnica nie mogąc zapanować nad wzruszeniem, odezwała się głośno: O mój Boże, czemuż tu nie ma kapłana z pomocą dla odchodzącej duszy! Chory z bliskiego łóżka, przywołał ją do siebie i szepnął: „Siostro, tu jest ksiądz, ale bardzo, bardzo słaby, razem padliśmy, on mi tam zaraz dał absolucyę. „Ksiądz w tej sali? a gdzie on?!” Chory wskazał łóżko w rogu. Siostra tam poszła. Młody L'Abbe leżał z zamkniętemi oczyma, już do żyjącego nie podobny. Miał obie nogi zmiażdżone, piersi przeszyte, ale żył jeszcze. Doktor znalazł przy nim taką ilość krwi ubiegłej, że zawyrokował, iż nic już nie pozostaje do zrobienia. Był w ciągłem omdleniu. Siostra stanęła przed jego łóżkiem, ręce jej opadły. I to ma być człowiek żyjący! On wnet skończy, a tamten czeka i ma nadzieję!

Ufając Bogu, u którego nie ma nic niepodobnego, schyliła się nad tym cieniem człowieka. Ojcze! Ojcze!

Pan Bóg często nagradza prostą wiarę. Oczy umierającego otwarły się, mówić nie mógł, ale

wszystkie ostatnie iskierki życia zcentralizowały się w wejrzeniu, którem pytał. Zakonnica, wiedząc, że chwile są już policzone, przedstawiła swą prośbę w Imię Boże. „Tam umiera jeden żołnierz, pragnie księdza. Ksiądz-żołnierz szepnął blademi usty, mało dosłyszalne słowo, wyrażające gotowość spełnienia kapłańskiego obowiązku i od progu wieczności: „Zanieść mnie tam!”

Czterej posługujący infirmerzy wzięli łóżko i wolno bez wstrząśnienia, któreby mogło spowodować śmierć, nieśli umierającego posłannika pokoju do umierającego towarzysza broni, który nań czekał z odejściem do wieczności. Oczy księdza zamknęły się znowu. Siostra pytała siebie, czy też nie niosą już trupa? Wszyscy chorzy patrzyli ze zdziwieniem.

„Tu postawcie, a cicho, ostrożnie, bez wstrząśnienia.” Otworzył oczy i prawie silnym głosem przemówił: „Przysuń się bliżej... czas krótki... zostawcie nas...

Wszyscy cofnęli się. Słychać było szept głosów. Nastąpiło rozgrzeszenie. Chciał podnieść rękę, lecz ta była już bezwładna, straszny upływ krwi spowodował paraliż. Proszącym wzrokiem popatrzył na Siostrę. Ta domyśliła się o co chodzi. Wszyscy ranni poruszeni do głębi, unieśli się, ile mogli na łóżkach, by widzieć czego nie widzieli dotąd, coś pięknego nie z tego świata, co wytworzyła ta straszna wojna. Umierający, otwiera niebo umierającemu. Siostra obu rękoma podniosła

delikatnie rękę kapłana nad głowę umierającego żołnierza. Infirmerzy uklękli. W tych niknących ciałach żyły i działały dusze. Kapłan przemówił: „Dominus Noster Jezus Christus te absolvat.”... tu słowa mu zamarły, ale z wyraźnym wysiłkiem dopowiedział: „Ego te absolvo a pecatis tuis, in nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti.” Zamilkł.

Zakonnica popatrzyła na obu. Zaczekała jeszcze chwilę, uczuła, że ręka staje się cięższa i chłodniejsza.

Było po wszystkim. Oba skonali jednocześnie.

Zdala doleciał majestatyczny grzmot walki, jakby wspaniały głos tryumfu, dusz wchodzących do wieczności.

Siostra otarła łzy i odpędziła smutek. Oba oni słuchali szlachetnie rozkazu swego oficera. oddając życie, obu wezwał jednocześnie Mistrz boski po nagrodę wieczną.

Wszystkie serca w tej sali cierpienia były podniesione ponad ziemskie cierpienia i troski. Jakże one zmalały wobec uchylającego się rąbka wieczności!

ROZDZIAŁ XII.

Ranek był smutny, po nocy niespokojnej, męczącej chorych gorączkowymi widmami, ciężki

ranek w szpitalu po drzemaniu przerywanem jękami.

Czterdzieści ciał obalonych cierpieniem przez długie godziny, ciał wyczerpanych opuszczających się pod własnym ciężarem. Ręce w zakrwawionych bandażach, ramiona rozciągnięte na łóżku, głowy również obandażowane, nieraz pęknięta czaszka, zdarza się, że aż mózg widać. A jakie cierpienie na twarzach!

Duroy patrzał na to wszystko. Widywał on daleko gorsze rzeczy, alę tam, jako sanitaryusz, ciągle w ruchu, spieszył na pomoc cierpiącym, dźwigał, ratował, pocieszał. Tu bezwładny, bierny, często beznadziejny, i tak ma pozostać długie jeszcze tygodnie, a kto wie, czem to się skończy, czy przyjdzie wyzdrowienie?

Ciężki to był ranek. Na stole narzędzia chirurgiczne, takie ostre, takie straszne, jak ból, który zadają. Zaraz przyjdą lekarze. Przed ich zbliżeniem się nie jeden drży. Będą dotykać najboleśniejsze miejsca, rozszerzać rany, oczyszczać je. O! jak to boli!

Infirmerzy przynieśli kawę. Trochę ruchu, życia. Po śniadaniu wchodzi główny doktor i wyższy oficer, obaj z rozjaśnioną twarzą.

„Ksiądz Duroy, sanitaryusz z sekcyi N. N.” — podchodzi do łóżka, podaje mu rękę.

Duroy nieco się podniósł, dla okazania uszanowania. Oficer zadaje mu pytania, gdzie i w jakich okolicznościach został raniony? Potrzebuje

powtórzenia szczegółów. Duroy opowiedział z prostotą cały dramat, jak gdyby to jego nie dotyczyło, raczej jako widz tego, co się tam działo. O swojem narażeniu się na niebezpieczeństwo ani wspomniał. Zakończył wyrazem współczucia dla swych towarzyszy, którzy otrzymali straszne, śmiertelne rany.

Oficer popatrzył na majora i rzekł: „Oni wszyscy jednacy, troszczą się o drugich z zapomnieniem o sobie. Mówiąc to obracał w palcach małe czerwone skórzane pudełeczko.

Cóż ty księże robiłeś wtedy, gdy tamci tak się poświęcali?

Robiłem, co i oni.

Czy tylko to?

Tak.

Nic więcej?

Nie.

A czy znasz księże tego sanitaryusza, co to w krytycznej chwili, gdy zamierzano cofnąć się z pod ognia, zawołał: „Chodźmy przyjaciele, nie czas wahać się, ani wracać!"

Duroy uśmiechnął się.

Nie każdy byłby to uczynił, rzekł oficer. A czy pamiętasz jak ten sam sanitaryusz wystawiony na okrutny ogień z transzy nieprzyjacielskich, stanął przed nimi, wyprostowany dumnie i zwracając odważną twarz do Niemców, pełnym godności ruchem wskazując na rannych, zniewolił nie-

przyjaciela do odwrócenia strzelb od sanitaryuszy, gdy przechodzili obok transzy?

Duroy zaczerwienił się.

Rozumiem cię, zawsze myślisz o drugich, więc pamięć o nich zajmuje twój umysł z zapomnieniem o sobie.

Jeden tylko z tamtych bohaterów pozbawiony został twej uwagi i uwielbienia, a nim ty jesteś. Na szczęście twoi przełożeni mają lepszą pamięć.

Tu wyjął z czerwonego pudełeczka mały lśniący przedmiot, na widok którego zaiskrzyły się oczy wojaków i przypiął go do wełnianej szpitalnej koszuli Duroy, gdzie był inny zwykły medaliczek, świadczący o ufności jego w opiekę Matki Najśw. To oznaka honorowa była jakby wdzięcznym uśmiechem Ojczyzny, przeznaczonym dla tych jej synów, którzy jej bronią do oddania życia.

„W imieniu głównego dowódcy armii francuskiej, oznaczenie to jest ofiarowanem ks. Duroy, sanitaryuszowi od noszów, za jego szlachetną konduitę i odwagę w ratowaniu rannych pod ogniem nieprzyjacielskim.

Radość Duroy była zaciemniona tem, że jego również waleczni towarzysze nie otrzymują tej nagrody.

Doktorze, zapytał majora, a co z tamtymi? Doktor oponował wzruszenie, schylił głowę i rzekł z cicha: Oni wszyscy poszli po wieczną nagrodę. Umarli.

Duroy teraz zrozumiał, z jakiego uszedł niebezpieczeństwa. Jakie Opatrzność miała zamiary zostawiając jego jednego, — nie wiedział, lecz podziękował Panu Bogu za umocnienie jego woli ponad wstręty i bojaźń natury.

Major przemówił do obecnych o wielkiej odwadze księży. Pięciuset otrzymało medale legii honorowej, zarówno ci, co są pod bronią, jak i sanitaryusze. Oni wszędzie pierwsi, gdzie jest największe niebezpieczeństwo i przykładem zagrzewają żołnierzy.

A teraz moi drodzy, będziecie mieli prawdziwy świąteczny obiad z kwiatami, ciastkami i szampanem dla uczczenia waszego księdza Duroy.

Wspomniany, skinieniem głowy podziękował. Inni żołnierze otrzymali również w tym dniu swe nagrody i dekoracye za odwagę i szlachetne czyny.

Duroy opisał mi tę rzewną scenę ledwo w kilku słowach, a szczegóły otrzymałem od innego naocznego świadka.

Oto słowa Duroy: „Jedna więcej dekoracya jest klejnotem dodanym do korony kościoła we Francyi, a dziś mnie Francya wybrała, do złożenia tej ofiary, krwią moją zabarwionej. Od dawna zaniedbano we Francyi odnawiać aureolę kościoła ozdobami poświęceń i odwagi w sprawie Bożej. Zawsze kościół miewał swych męczenników i apostołów, swych zdobywców i bohaterów.

Teraźniejsza wojna powiększa jego gwardyę honorową.”

W kilka dni później doktor major przyniósł Duroy listę księży zabitych przez nieprzyjaciela, którzy byli otrzymali dekoracye honorowe. Z pewną dumą czytał on tę listę, codziennie powiększającą się.

Ojcze, odezwał się doktor-major, powiem ci szczerze, że ja byłem zupełnie indyferentnym dla religii, zapomniałem był o Bogu, a księży nie znałem. Gdy wojna wybuchła, anim się spodziewał poznać cię, i mówić z tobą, tem mniej, że twój wpływ da mi wiele dobrego. Teraz poznałem Boga i Jego opatrzne czuwanie nad naszą armią, w prowadzeniu jej drogą ofiar i aspiracyi do powolnego zwycięstwa.

Duroy uśmiechnął się, przyjął wdzięcznie to uznanie szlachetnego doktora dla całego duchowieństwa pod bronią, ale chciał podnieść zasługi i drugich, wszystkich Francuzów, ten zbiorowy heroizm, bez wyszczególnienia religii, wyznania, lub profesyi. Rzekł więc: Wszyscy walczący, to serce kraju, które działa w obecnym czasie przez ręce jego dzieci.

Tak, mój Ojcze, odrzekł doktor, ale sami generałowie co najlepiej znają żołnierzy i okoliczności, jednomyślnie wyrzekli swe zdanie o pierwszeństwie księży w poświęceniu się i gotowości na największe niebezpieczeństwa.

ROZDZIAŁ XIII.

Jednego dnia, o czwartej rano, rozległ się w szpitalu nadzwyczajny sygnał, wzywający do roboty śpiących i drzemiących, zmuszając do wielkiego pośpiechu.

Z różnych zakątków powychodzili infirmerzy z zaspanemi i nieco przestraszonemi oczyma. Korytarze i sale były oświetlone, a nowi chorzy, wyobrazili sobie ze snu, że to sygnał do walki, którą niedawno opuścili.

Na podwórzu zahuczały motorowe ambulanse, nosze były gotowe, jęk bólu dolatywał zdala.

To nowy transport rannych z pola walki. O, jakie poniszczone ciała! Drogoż oni zapłacili te 5 set jardów zdobytej ziemi, na którą nieraz patrzy się obojętnie, a która tyle zabrała ofiar i krwi.

Byliśmy przyzwyczajeni do takich widoków, jednak ten nowy transport ciał ztorturowanych cierpieniem odbił się jakimś udręczeniem w naszych nerwach. Nic tak ponuro nie usposabia, jak wyjmowanie z ambulansów bladych, skrwawionych ludzi przy świetle latarki, z największą możliwą ostrożnością by nie urazić ran, nie powiększać bólu. Tym razem najwięcej było Brytończyków, którzy przyszli pomagać, a walczyli wytrwale, spokojnie, systematycznie.

W pierwszym ambulansie było ich czterech ciężko pokaleczonych. Gdyśmy otworzyli drzwi ambulansu, żaden nic nie mówił, jak gdyby byli

umarli, lub spali, ale ich oczy były szeroko otwarte i spokojne.

Oni czekali cierpliwie, a cierpliwość w tych czasach stała się cnotą ogólną.

„Jesteście panowie straszliwie zmęczeni?”

Powiem ci, odrzekł jeden, że lepsze to, niż siedzenie w transzach.

Prawdziwie męska filozofia, zauważył infirmer, pomagający mi układać ich na nosze.

Jeden z nich, co dotąd milczał, odezwał się, żartując, gdyśmy go brali: „Śmiało przyjaciele, po co tyle ostrożności. Jeśli mnie trącicie, daję słowo, że nie krzyknę. Czy to ja mała dziewczynka?”

Potem przy opatrunku pokazało się, że miał szkaradne rany, a gdyśmy go nieśli w najlepsze żartował, wzdychając do prędkiego powrotu w szeregi bojowe, by pomścić na Hunach swą krzywdę.

Ten nowy pacyent zajął numer łóżka 3ci, zwał się Michael Kergourlay. Walczył on dwa miesiące bez wypoczynku, niespokojny o swe życie ze względu na żonę i niemowlę.

Widziało się wielką wytrzymałość i wiele zimnej krwi w Bretonach. Żaden się nie uskarżał, a ich moto: „wytrzymać do końca.”

Kergourlay opowiadał mi szczegóły ostatniej bitwy.

Każdy z rannych czuje się niezmiernie zadowolony, gdy znajdzie się na czystem łóżku z białem prześcieradłem, po miesiącach błotnistych

transzy bez rozbierania się. Kergourlay ucieszył się czystą pościelą więcej niż inni.

Porozcinałem na nim ubranie, by łatwiej oswobodzić poranione miejsca, a głównie strzaskane ramię.

Ze spodniami była trudna sprawa. Nabiło się w nie tyle ziemi, mokrego błota; wrosło to prawie w materyał, który znikł pod tą skorupą i nie miał już swego koloru. Pomyślcie tylko! Sześćdziesiąt dni w okopach, na wilgoci, w ziemi, nieraz polewani rzęsistym deszczem, to doprawdy pewien heroizm dla lubiącego porządek i czystość ciała.

Widząc tego człowieka tak przeraźliwie brudnego, zrozumiałem niezrównaną wytrzymałość i cierpliwość praktykowaną w tej wojnie.

Admirowałem mego Bretona poddającego się rozebraniu i wymyciu jak niemowlę.

Bardziej on niepokoił się o zawartości swej kieszeni, niż o rany.

Kieszeń żołnierza na wojnie jest dla niego drogocennym składem jego skarbów, pamiątek. W niej nosi co mu najmilsze i najpotrzebniejsze i co chce zachować: nożyk, trochę papierosów, czekoladek, notesik z fotografią drogich osób, widelczyk składany, często kawałek odłamka szrapnela itp.

Wszystko to było już rozłożone na prześcieradle, a właściciel przyglądał się, układał rzędem te skarby.

„Proszę, popatrz-no jeszcze do kieszonki w ubraniu z lewej strony, jeszcze tam jest rzecz ważna!”

Włożyłem rękę do zabłoconej kieszeni. Na dnie był różaniec o dużych paciorkach i mocnym łańcuszku.

Kergourlay z tryumfem go podniósł, pocałował krzyżyk i ostrożnie położył przy sobie, ale go zabrałem, by z błota oczyścić. On był ze mną zawsze na wojnie, rzekł!

Wszystkie niebezpieczeństwa wojny, codzienne ryzyko życia, były dla niego w ramach jednej wioski dziesięć razy przez Niemców zdobytej i dziesięć razy im odebranej. Ciągła zacięta walka między laskiem a cmentarzem. Tam widział niezwykłą odwagę towarzyszy i z nimi ich proboszcza-żołnierza.

Ostatniego dnia kilka godzin przed tem, okrutny strzał zmiażdżył jego ramię.

O świcie kapitan wydał rozkaz, jakimby nie było kosztem wyprzeć batalion nieprzyjacielski który wciąż ostrzeliwał nasze okopy.

Niech kosztuje ile chce, musimy rzucić się z bagnetami na nieprzyjaciela, zadziwić go nagłością ataku i zdobyć pozycyę.

Żołnierze otoczyli ciasnem kołem swego kapitana, rwąc się do ataku. Jeden rzekł: „Jesteśmy gotowi iść za naszym kapitanem.”

„A ja z wami.”

Dla tych ludzi samo wyrwanie się z transzów, ruch, walka, miało atrakcyę niesłychaną.

Gruchnęła komenda, wszyscy jak jeden wyskoczyli z okopów i zaczął się taniec.

Było to okropne, przerażające!

Z obu stron rzeź, mordowanie się wzajemne. Za blisko byli siebie, by strzelać, szamotali się, szarpali, nienawiść rozbudziła jakieś zwierzęce instynkta, dusili się za gardła, cięli nożykami.

Trwało to 20 okrutnych minut.

Wielu było nieżywych, rannych nie było. Niektórzy porznięci jeszcze drgali, kąpiąc się w krwi własnej.

Niemcy schowali się do swych dziur, gotując odsiecz. Ani jeden z naszych oficerów nie ocalał.

Pozostał jeden dowódzca dla naszej małej gromadki z czterdziestu ludzi złożonej.

Bardzo mały sierżant, 25cio letni proboszcz wiejski.

Jeszcze dyszący walką, z rękoma z krwi nie umytemi, zebrali się żołnierze w ciasne kółko przy swym małym sierżancie, ufni w jego odwagę, na którą tylko co patrzali. Zajrzeli mu w oczy, tem wymownem pytaniem: A co będzie teraz?

Wiedzieli, że tam w czarnych dziurach gotuje się do zemsty, że lada chwila wyskoczą ze wściekłą złością. Żołnierze chcieli odebrać im te okopy bo to kawał francuskiej ziemi, należało więc wyrzucić gniazdo szczurów, co się tam ulokowali.

Czekali więc chłopacy od tego jedynego wodza zachęty, decyzyi, podniety.

Wcałej postaci małego proboszcza była raczej skromność i pewna cecha kapłańskiego namaszczenia, niż żołnierskość i wojowniczość, a ci czterdziestu drągale wiedzieli dobrze, że to jest dowódca raczej duszą, niż rangą. Uśmiechnęli się do niego jak dzieci i rzekli: „Sierżancie, chodźmy tam i dajmy tym kretom ostatnie lanie!

Ksiądz-sierżant popatrzył uważnie na wszystkich. Niektórzy jakoś markotnie i ponuro spoglądali, jak gdyby nie chcieli tak prędko wyłazić z transzy. Ich nerwy drgały jeszcze od niedawnej walki, ciało nie wróciło do spokoju po mocowaniu się z wrogiem.

Sierżant podszedł do czterech, co wyglądali jak psy zziajane po pogoni za zającem.

O! wielcy Brytyjczycy, zawołał głosem silnym, jakby z piersi wielkiego wodza, pokażcie do końca kim jesteście! Czy to nam nie wszystko jedno, kiedy i skąd przenieść się do nieba?

Dziękujcie Bogu, że na teraz zachował dla was mnie, kapłana, bym mógł wskazać wam pewną, a niezawodną drogę do spotkania się z Panem Bogiem, który, jak dobry Ojciec czeka na was.

A teraz na kolana, czyńcie akt skruchy. Złóżcie wasze życie w ręce najlepszego Wodza, co teraz patrzy na nas z góry, kocha was i czeka na was.

Zaczekam minutę, byście poprosili o przebaczenie grzechów i poślę was do nieba tak szybko, jak leci strzała.

Pochyliły się głowy klęczących, nastała uroczysta chwila milczenia, a potem brudne, okrwawione ręce czyniły znak krzyża na piersiach.

Wyprostowany mały sierżant dał ostatnią absolucyę tym, którzy mieli zaraz umrzeć.

Podnieśli się z rozpromienionym wzrokiem, cdnowieni na duchu, a wódz zakomenderował wzięcie okopów. Z szaloną energią rzucili się naprzód, zaczęła się okrutna potyczka na bagnety na życie i śmierć. Wyparto Niemców, odebrano okopy. Zostało tylko dziesięciu żołnierzy, reszta padła, mały sierżant pierwszy.

ROZDZIAŁ XIV.

Kilku żołnierzy otoczyło łóżko Kergourlay, słuchając jego opowiadania z największem zajęciem. Ci weseli chłopacy zapomnieli o własnych przygodach wojennych i podobnych tragedyach przebytych kilka tygodni temu.

Niektórzy z nich dla zabawienia drugich, zaczęli opowiadać swe przygody i wrażenia z wojny, które są tak silne, że zwykle przedstawiają je z fotograficzną dokładnością szczegółów. Mówiąc, opromieniają się pewną chwałą, zdobytą osobistem poświęceniem się.

Tą drogą usłyszałem niejedną historyę, która w przyszłości utworzy wątek epopei naszego narodu.

Przy łóżku Kergourlay opowiadania te stawały się bardziej ożywione.

Obok, na sąsiednim łóżku były rozrzucone karty do grania, a leżący na nim Le Nac z fajką w ustach, opowiadał z prostotą swoją historyę, nad którą można było i śmiać się i płakać.

„Moi chłopcy, ja nie uczyniłem nic większego od was, ale razu jednego szkaradne Huny rzucili na moje ubranie ze sto kilogramów żelaza i ołowiu.

Było to wieczorem 7go grudnia.

Ja ci wierzę, stary, bo sam tam byłem, przerwał mu młody żołnierz.

Le Nac mówił dalej, tak on tam był, a było to w króliczej norze, a jeśli nie mówię prawdy, niech mi fajka przez okno wyleci. Popatrzył potem na mnie, zadowolony mą obecnością i ciągnął dalej: Tego wieczora Huny dokuczali nam niemało, rzucali swe orzechy ważące po 50 kilogramów tak szczodrze, że mógłby kto pomyśleć, że nie wiedzą co z tem robić.

My zasunęliśmy się w głąb naszych dziur.

Był tam sierżant Bistoulet, którego gaskońskie żarty i wyrażenia tak były zabawne, żeśmy wprost pękali od śmiechu. Kiedy kule za daleko sięgały, on wychylał się i wrzeszczał na całe gardło: „Co to wy szczury przeklęte, nie wiecie, że

nasi chłopacy chcą spać! A milczeć mi tu zaraz, wy.... tu dawał takie epitety, że mi się nie godzi w obecności, tu wskazał na mnie, nic z tego powtórzyć. Ten sierżant nie mógł milczeć, znalazł zawsze coś zabawnego do powiedzenia, a do tego i ruszał się jak maryonetka, tak żeśmy zawsze mieli wodewile bezpłatne.

Niczego nam tam nie brakło, tylko, że woda wchodziła do środka. Czekaliśmy jednego z upragnieniem, kiedy nam pozwolą wyleźć i zobaczyć, czy obłoki są na tem samem miejscu. Chichotaliśmy jak dziewczęta w naszych niedźwiedzich legowiskach.

Czasem jakiś lęk przeszedł przez serce niejednemu, a nie były to żarty, zdawało się, jakby jakiś głos wołał za nami: „Wszędzieby wam było bezpieczniej, niż tu!” Kule leciały, czasem jak zaświstały, zdawało się, że człek już nie żyje.

Coś w tych transzach było, co dusiło wewnątrz jak zmora i prawie każdy chłopak przez to przeszedł...

Przyszła kolej i na mnie. Była to sobota. Deszcz lał jak z cebra, wilgoć, ponuro.

Raptem cała moja przeszłość stanęła przedemną. Miałem wciąż przed oczami naszą wioskę, dom, wszystkie ścieżki i drzewa i kamienie, a cóż dopiero ojca, matkę, siostry, przyjaciół, wszyscy płakali, wszyscy wołali: „A gdzie on teraz, żyw, czy umarły, ranny, czy w więzieniu?” Pozbyć się tych głosów nie mogłem. Zamknąłem oczy, to je-

szcze gorzej, nie przestawali jęczeć i płakać. Głosy te były wewnątrz mnie, ani sposobu ich zagłuszyć.

A prócz tego, inny głos powtarzał: „Nic ci nie pomoże, nie ujdziesz stąd cały i żywy. Niemcy naokoło, czekają na cię. Ani tchnąć mi to nie dawało, miałem kawał ołowiu w przełyku. Myśli moje były czarniejsze niż chiński atrament. A ponad to wszystko, miałem jeszcze całe tomy różnych starych zaległości w mojem sumieniu, ściskały mnie jak grube liny okrętowe, a splątane jak motki jedwabiu, którym się koty bawiły. Choć zwaryować! Śmierć zdawała mi się w tych warunkach okropna!

Muszę wam powiedzieć, żeśmy nie zawsze dokazywali i śmieli się w naszych niedźwiedzich norach. Czasem człek milczał i myślał sobie o tem, że nie jest zwierzęciem i że koniec życia nie jest jego końcem, ale początkiem innych rzeczy.

Ta myśl owładnęła mną głównie tego pamiętnego wieczora. Sumienie wołało: „Le Nac, przyszła chwila, byś wszedł w siebie i mnie oczyścił!"

Łatwo to powiedzieć i zapragnąć, ale jak tu wykonać? Można wejść w siebie samemu, ale żeby stamtąd wyjść oczyszczonym, trzeba do pomocy drugiego, trzeba naszego „Cure."

A skąd go teraz wziąć?

Niedawno był tu jeden w naszej niedźwiedziej dziurze, ale teraz daleko, może umarł, kawał odłamu żelaza wpakował mu się w brzuch.

To mnie nie pocieszało.

Jakieś wprost szalone pragnienie spowiedzi opanowało mnie.

Dalej, w drugich transzach był jeden „Cure”, znaliśmy się dobrze, ale teraz trzydzieści jardów nas rozdzielało, kawał trudniejszy teraz do przebycia, niż dostanie się do Paryża.

Wlazło mi do głowy, żeby koniecznie do niego się dostać, ale jeśli mam być zabity tam idąc i umrzeć bez spowiedzi, to lepiej nie wysuwać nosa.

Więc iść, iść tam koniecznie, choćby przez ogień. — Ale może zabiją, wtedy przepadniesz.

Iść, czy nie iść? Nie macie pojęcia jaka to była męka. Zwiesiłem głowę, zbiedniałem, ani mówić, ani jeść. Chłopacy dokuczali mi w różny sposób, a im więcej żartowali na moje konto, tem większa ogarniała mnie wściekłość.

Raz sierżant położył mi dłoń na ramieniu i rzekł: „Słuchaj-no stary Le Nac, widzę, że ty potrzebujesz świeżego powietrza i zobaczyć czy obłoki są na tem samem miejscu. Idź-no, pospaceruj trochę! Popatrzyłem nań, słowom nie wierząc. Czy to naprawdę? zapytałem?

Najzupełniej, idź, zobacz co tam robią szczury, czy przygotowują nowe dziury na naszą skórę?

Domyślicie się, żem nie czekał długo. Pochwyciłem trochę manatków i marsz w drogę.

„Do widzenia chłopcy! Jeśli nie wrócę, podajcie mnie jako zabitego. — Nie w niewoli.”

Najlepszy mój przyjaciel powiedział mi na pożegnanie: Jak cię zabiją, wezmę twoje buty, bo moje wypijają więcej wody na dzień, niż ja wina przez cały rok. Wyszedłem. Mgła była tak gęsta, że choć ją nożem kraj, ale te szczury mają świeczki w ślepiach. Ledwo zrobiłem trzy kroki, a tu tuzin kul zaraz mi świstnęło około uszu.

Wychodziłem z radością, a teraz pomyślałem, co tu począć? Jeśli stanę jak słup telegraficzny, rozstrzelają mnie na miazgę. A więc będę pełzał na brzuchu w błocie i puściłem się tak w drogę.

Powiem wam, że nie wesoło bawić się w ślimaka, w takich okolicznościach. Gdym dopełzł bliżej okopów, nie mogłem się ruszać bez bólu krzyżów i wszystkich kości, a obrzydłe transze, któremu za sobą zastawił, wydawały mi się wspaniałym apartamentem.

Błoto i ja, to jedno. Niktby mnie nie dojrzał. Błoto w uszach, w nosie, w ustach. Tylko do spowiedzi można tak podróżować, a to już chyba połowa pokuty za grzechy.

Przeszło dwadzieścia minut trzeba było, by wydobyć się po za słupy graniczne na pole. Trzy kule musnęły mi skórę, ale się ześliznęły po ubraniu mokrem i śliskim od błota. Nakoniec dopełzałem do sąsiednich naszych transzy. Teraz ryzyko, by podnieść głowę do góry na parapet.

Ujrzał mnie jakiś cień i skoczył jak maryonetka na drucie.

Czekaj, zuchwalcze, ja cię nauczę wizytować nas bez pozwolenia! i wymierzył karabin.

„Hola! zaczekaj, dowiedz się wpierw kto jestem!”

Cień roześmiał się na cały głos:

Toż to Le Nac! A któżby inny to zrobił.

„A czy ty naprawdę jesteś Maranson? Tak myślę. Ale czy Maranson „Cure”? bo jest dwóch w batalionie.”

Do usług twoich.

Mój księże, wyspowiadaj mnie co prędzej, ale niech-no me piersi z błota wydobędę, by powiedzieć i uderzyć na „Boże bądź miłościw.”

Możesz zostać, jak jesteś, zwalniam cię od uderzenia się w piersi. Zaczynaj prędzej.

Ale mój chłopcze... to jest ojcze, kiedy to człek zaniedbał się lata i lata.

Rób co możesz, nie troszcz się, czy to lata, czy wieki, ja ci dopomogę.

I tak mi dopomógł, że miałem tylko odpowiadać tak, lub nie, a w miarę, jak to szło naprzód, pozbywałem się coraz nowego grzechu.

Zdawało mi się, leżąc w błocie jak prosię, że jestem na stole operacyjnym, a ten boży chirurg bez bólu wyciąga ze mnie różne kule i kawały szrapneli. Niemieckie strzały huczały tam za mną, alem tego nie słyszał. Jeden tylko głos zawdzięczał jak muzyka, gdy dobry „Cure” powiedział:— „Mój chłopcze, jest to bardzo piękne, coś zrobił. Teraz dziwnem byłoby, żebyś się czego lękał.

Jesteś zaszczepiony przeciwko mikrobom strachu. Bóg z tobą, a On silniejszy od Wilhelma. Staraj się teraz, byś Go nie oddalił od siebie grzechami, w ciężkiej chwili zwracaj się do Niego, a wtedy śmierć tyle będzie straszna, co pusty ładunek.

Kula, która cię trafi w głowę, będzie biletem pierwszej klasy do Raju.

Dał mi błogosławieństwo, wygramoliłem się, podszedłem ku niemu, uściskaliśmy się jak przyjaciele.

A teraz musisz spełnić polecenie sierżanta, zobaczyć co robią Huny. Jeśli nie wrócisz, wiesz gdzie się spotkamy. Bóg z tobą, idź!

Puściłem się z powrotem tym samym sposobem, wesół i zadowolony z lekką duszą. Żartowałem sam z siebie: Nie bój się Le Nac, jeśli cię kula trafi, nie potrzebujesz padać, bo leżysz na ziemi.

Miałem polecenie od sierżanta, a nie kazano mi puszczać się tak daleko za okopy; tam mnie czekają. Przedemną o sto jardów nieprzyjacielskie okopy. Nasłuchiwałem. Doleciał mnie hałas, brzęk. — O, to nie dobry znak! Przygotowanie do napadu. A w naszych dziurach nic nie wiedzą, są spokojni, czekają na moje relacye.

Krew mi się ścięła na tę myśl.

Idyoto! rzekłem do siebie, spiesz się spełnić twój obowiązek! I popełzłem prędzej na brzuchu ku niemieckim transzom.

A było to w sam czas. Ledwo dostałem się za duży dąb, gdy spostrzegłem czarny cień postaci, sunącej się na czworakach ku naszym okopom, już nie daleko baryery. Jednym susem wyskoczyłem na kupkę kamieni, nachyliłem się w stronę naszych transzy i zacząłem krzyczeć z całej siły: „Hola, sierżancie, towarzysze, baczność, Huny leżą!” Wiedziałem, że zginę, ale oni tam zostaną ostrzeżeni w porę.

Możecie sobie wyobrazić, jak dobrą tarczą do strzelania byłem dla Prusaków, stojąc tak jeden na polu.

Ale nie pozostawało mi nic innego do zrobienia.

Puf! paf! ze wszech stron, z lewej, z prawej, z dołu. Była to dobra chwila do pamiętania na słowa księdza: Kula w głowę będzie dla ciebie biletem pierwszej klasy do Raju!

Jeszcze pełzając na brzuchu, spodziewałem się wciąż tego paszportu do Nieba i oczekiwałem go.

Teraz powiedziałem sobie: „Suchaj Le Nac, niech cię szpilkują strzałami jak zająca na pieczyste, a ty wciąż krzycz z całego gardła, aż w naszej kretowinie usłyszą; póki usta się nie zamkną, krzycz, choćbyś leżał powalony na ziemi, krzycz!

Usłyszałem hałas od naszej strony. Dobry znak.

Coś ciepłego płynęło po mnie, krzyknąłem już słabszym głosem. Otworzyłem oczy gdy mnie nie-

śli do naszej dziury. Czterech stało nademną, a mój najlepszy przyjaciel patrzał na moje buty. Chciało mu się ich, ale nie dostał, ot jeszcze są na moich nogach.

Le Nac tem zakończył swą historyę i roześmiał się serdecznie, nie wiedząc, że powiększył liczbę naszych bohaterów wojny. Potem zwrócił się do mnie: „Widzisz Ojcze, gdyby nie spowiedź, te szczury wlazłyby już były na dobre do naszych dziur.

ROZDZIAŁ XV.

„Skąd jesteście?"

„Z Perthes-les-Hurlus."

Czy tam dobrze idzie?

Czy dobrze? —rzekł jeden w czerwonej czapce z Pas-de-Calais, — chyba dobrze, gdyśmy wzięli trzysta jardów we trzy dni.

Popatrzyliśmy na niego z niedowierzaniem. Ale on nie żartował, a drudzy z czerwonymi od czuwania oczyma, potwierdzili rzeczywistość słów towarzysza.

Ludzie ci, z ogromnymi bandażami, z członkami w leszczotkach, zaczęli nam opowiadać nowiny z wojny, pośród której przeżyli pięć miesięcy. Byli teraz w podróży dwa dni i jedną noc.

Rany ich były w okropnem zaniedbaniu, zanieczyszczone, nawet w gangrenie.

Chociaż byliśmy przyzwyczajeni do podobnych rzeczy, jednak dreszcz odrazy i wstrętu przebiegł nas na widok tak rozkładającego się ciała, a ci biedacy pomimo bólu i szalonego zmęczenia, jedno mieli pragnienie, przekonać nas o prawdziwości tych faktów i o żywotności Francyi, budzącej się z uśmiechem do wiary i zwycięstwa. Nawet wtedy, gdyśmy nieśli ich zmordowane ciała, opowiadali z zapałem.

Gdy rozbieraliśmy ich, tnąc na kawałki ubranie i bieliznę wrosłą w rany, pragnienie przedstawienia nam jak rzeczy stoją, było w nich silniejsze, niż ból, powtarzali ileśmy zdobyli i że godzina wyzwolenia się jest coraz bliższa.

Nie było to gorączkowe podniecenie, ani mania pokazania się silniejszym, niż natura, ale w tych prostych sercach żyła gorąca, niezachwiana wiara w tryumf Ojczyzny i nie mniejsza dla niej miłość.

Nie chcieli i nie mogli spać, przebyte fakta zapełniały ich umysł i wyobraźnię. Miesiącami nie mieli znikąd żadnej wiadomości, żyli wojną, wojną oddychali. Wszedł główny doktor, przechodził salę żwawym krokiem. Badawcze jego oko zaraz spostrzegło twarze nowych pacyentów.

Obejrzał ich rany, zapisał uwagi, był wesół, podtrzymujący, ojcowski. Znalazł odpowiedne słowa dla rannych. „Wszystko będzie dobrze, moi drodzy chłopcy. Zabierze to nieco czasu, ale naprawimy tę nogę, a co do złamanego ramienia,

trzeba wiedzieć, że się w dobrem miejscu złamała i samo się zagoi.

Takiemi słowy niósł wszędzie uspokojenie, nadzieję, a gdy odszedł, ci co byli dręczeni niepewnością, i bólem, wyrażali swą radość temi słowy: O, jak ten major jest dobry, jaki ojcowski, gdy się go widzi, zaraz się człowiek lepiej czuje.

Mieliśmy wielką pociechę, widząc tych no--wych chłopaków rozweselonych, śmiejących się, upojonych szczęściem, płynącem z poczucia, że śmierć spodziewana co chwila, przez tyle miesięcy ominęła ich, że używają życia i spodziewają się jeszcze walczyć z wrogiem Francyi.

Był w szpitalu Żuaw, który otrzymał strzał w łydkę, a kula tak daleko poszła i zagłębiła się w mięśnie, że czekała go ciężka operacya. Cierpiał on jednak nie tyle z powodu rany, ile z niezadowolenia, że ma w swem ciele coś niemieckiego, choćby w postaci kawałka stali. W pierwszej chwili przybycia do szpitala napierał się, by mu zaraz zrobiono operacyę, ale doktor miał wielu pacyentów, których stan nie cierpiał zwłoki, więc robotę z nim musiał zostawić nieco na potem.

Biedny Żuaw nie mógł się uspokoić, błąkał się po korytarzu, którędy doktor przechodził, kładł się przed jego drzwiami, bo zwrócić na siebie uwagę, a gdy to nie pomagało, wpadał w złość, przeklinał swą nogę, wymyślał słowa łajania i oburzenia na niemiecką kulę, jak gdyby ona to rozumiała. Doktor był ogromnie zajęty. Rozdraź-

nienie Żuawa przybierało coraz większe rozmiary, jakby opętanie dręczyło go i prześladowało bez przerwy. Kładł się spać przeklinając swą nogę, grożąc i wydziwiając niemieckiej kuli tam zagrzęzłej.

Po kilku dniach Żuaw desperował. Gotów był swą nogę przebić nożem, byle pozbyć się pruskiej stali. Jak ci nie wstyd, mówił, grożąc nodze, nosić w sobie niemieckie śmiecie?

Jednego wieczoru poszedł wcześniej spać, nakląwszy porządnie biedną spuchniętą łydkę i kulę.

Byłem zajęty mymi obowiązkami do jedenastej wieczorem. Była pełnia, księżyc mocno świecił. Obchodząc wszystkie łóżka na sali, gdzie już wszyscy spali, a niektórzy potężnie chrapali, spostrzegłem mego Żuawa siedzącego w łóżku i gestykulującego. Uważał się on za wróżbitę i wykonywał różne magiczne ruchy i zaklęcia. Podeszłem do niego z zamiarem zachęcenia do spokojnego leżenia, ale cóż ja widzę?...

Nie były to nieme ruchy i kabalistyczne znaki nad raną. Żuaw miał w ręku swój zwykły stary nożyk, który mu na wojnie służył, rozciął nim szeroko ranę, wsadził w nią palce i z zacietrzewieniem szukał tam niemieckiej kuli. Nie spostrzegł mnie, cały zajęty swą robotą. Krew zalała prześcieradło.

Co się stało z wami, surowe przepisy czystości nieskazitelnej narzędzi chirurgicznych, obawa dotknięcia ran niedość czystymi palcami? Tu pro-

sty nóż, który codzień krajał mięso, zczerniałe palce i zbyt dalekie od czystości, oto narzędzia operacyjne Żuawa, który ze stoicznym spokojem wydobył kulę, znajdującą się na trzy cale w muskułach własnego żywego ciała.

Chciałem go zatrzymać, ale zaszło zadaleko, a niebezpieczeństwo nie zmieniłoby się, gdyby był zaprzestał swej roboty. Uważałem jego twarz. Była bez wyrazu bólu. Ostry ból nie tknął serca. Lewą ręką naciskał biedną łydkę, a palcami prawej szukał kuli.

Nagle całe ciało drgnęło, uśmiech tryumfu rozlał się na jego twarzy, podniósł mały okrwawiony przedmiot i wstrząsał nim: „Mam cię, szkaradnie niemieckie śmiecie, mam cię hultaju, a mówiłem, że wydobędę! Wielu się obudziło, otworzyli zdziwione oczy, Żuaw trzymał kulę i wykrzykiwał dalej.

Opatrzyłem ranę. Doktor był oburzony bez granic, gdy się dowiedział. „Głupi Żuawie, mówił, mogłeś zgubić siebie, gdyby się zakażenie wdało!”

A co dla mnie mogło być gorszem, jak nosić w sobie ten przeklęty kawał żelaza, który pruska łapa tam wpakowała! odpowiedział.

Musiał on mieć zdrowe ciało i czystą krew, gdyż za dni kilka rana zaczęła się zabliźniać a Żuaw urósł do potęgi bohaterstwa w całym szpitalu.

No i obszedł się bez chloroformu, powtarzali chorzy. Chloroform był przedmiotem nienawiści

żołnierzy, każdy radby dać się operować bez niego, ale na to nie pozwalał chirurg.

Meyer z Soint-Die, przywieziony został do szpitala z biodrową arteryą w okropnym stanie.

Był on bardzo wycieńczony; przed operacyą doktor starał się go wzmocnić różnymi sposoby.

Chory rozweselał rannych grą na harmonijce i zdjęciami fotograficznemi ruin jego miasta.

Po pewnym czasie doktor major go wezwał i zajął się nim bardzo troskliwie. W sali operacyjnej wszystko już było gotowe, lekarze w białem ubraniu, jak starożytni Druidzi, czekali na swą ofiarę. Doktor-major robił ablucyę.

Meyer z Saint-Die, trzymał w ręku kartonowe pudełko. Na coś to przyniósł, żadnych rzeczy nie potrzeba i nie wolno tu przynosić.

To będzie potrzebne, odrzekł pacyent, a widząc maskę, zawołał: „Nigdy tego mi nie włożycie!

Doktor łagodnym żartem chciał zachęcić pacyenta, a gdy to nie pomogło, odezwał się stanowczo:

— Musisz to włożyć!

— Powiedziałem, że nie włożę i nie włożę!

— Ale mój chłopcze, miej rozum; inaczej nie wytrzymasz.

— Ja mam coś skuteczniejszego, niż chloroform, ozwał się pacyent.

— Coś skuteczniejszego?



— Tak. i wydobył z pudełka harmonium. Mój doktorze, wierz, że to mię utrzyma w cierpliwości. Ale pozwól mi grać ile zechcę, tak długo, jak będę czuł potrzebę. Jeśli wydam ton pojedyńczy, albo stracę przytomność, możecie włożyć mi maskę, ale proszę cię doktorze, spróbuj, jeszcześ nie miał podobnej operacyi z akompaniamentem.

— Niech i tak będzie, ozwał się doktor, ale cię ostrzegam, że operacya będzie bolesna.

— O, chyba niema nic boleśniejszego, jak Niemiec w naszym kraju!

Zrobiono duże cięcie, naciągano arteryę, potem pracowano igłą, zaszywując.

Ostrym bólom odpowiadało stakato w muzyce w sypiących się mazurkach, walcach, polkach, różnych melodyach. Całe pół godziny sala była pełna muzyki gwałtownej, o fantastycznych zwrotach, które czasem dźwięczały dziką konwulsywnością.

Krew płynie. muskuły drgają, igła szyje, a on wciąż gra i gra.

Przechodnie zatrzymywali się na ulicy, przy drzwiach sali operacyjnej i powtarzali sobie:

— Nie musi tam być tak źle, wesoło im!

Tak, nasi nowożytni muszkieterzy umieli cierpieć wesoło za ojczyznę.

ROZDZIAŁ XVI.

Chłopak pod numerem 127 miał rodzinę, narzeczoną, a zwłaszcza matkę, która żegnając go, rzekła z niewieścim heroizmem, którego łzy nie zmniejszają: „Idź, spełnij twój obowiązek, oddałam cię Bogu, który cię strzedz będzie i Francyi. która cię woła.”

Przybył do naszego szpitala z konwojem rannych, budzących przerażenie i litość. Należał do 3go regimentu Infanteryi, walczącej tak słynnie przy okopach w Perthes, która zasłużyła na okrzyk główno-dowodzącego „Prześliście żołnierzy Napoleona.”

Słowa te mają być wyryte na marmurowej płycie.

Przybył z Beausejour, nazwa miejsca słynnego tak okropną walką, że dreszcz przejmować będzie dusze tych, którzy w przyszłości czytać będą historyę tej wojny w jej epizodach.

Gdy się rozciągnął na łożu śmierci, pierwsze jego słowa były: Darujcie mi, że tyle zadaję kłopotu! A gdy infirmerka czerwonego krzyża rozbierała go, rzekł: „Jestem brudny, przepraszam bardzo, nie mogłem dotknąć się ran bez zemdlenia.”

Tyleśmy napatrzyli się już na poszarpane ciała i zmiażdżone kości, że pora była oswoić się z podobnymi widokami, ale gdy się zdjęło jego ubranie, jakieś mimowolne przerażenie i wstręt ogarnął nas wszystkich, widząc szmaty porozry-

wanego żywego ciała. Kość pacierzowa pęknięta w kilku miejscach, rany płynące materyą, a w jednem miejscu formująca się już gangrena.

Wyglądał jak rozkładający się trup. Prawdziwy kontrast stanowiła twarz o szlachetnych, dumnych rysach, czarnych oczach o głębokim wejrzeniu, łączących dziecięcy wdzięk, z męską dojrzałością. Blade czoło otaczały krucze włosy. Młodzieńcza niewinność cechowała całą jego postać.

Matka mogła być dumną z takiego syna, a życie uśmiechało się doń pełne powabu i snów złotych. Zachowywał spokój, pomimo ironicznych karesów śmierci, zapuszczającej powoli swe szpony w serce jego.

Gdy doktor próbował pocieszyć go nadzieją wyzdrowienia, przeciw swemu przekonaniu, miał wyraz rezygnacyi, który zdawał się mówić: — Wiem, że czynisz co możesz, robiąc mi nadzieję życia, ale to daremne. Odczuwał bóle śmiertelne i oddech mu ustawał. Z prostotą dziękował za okazywaną troskliwość, miał delikatny sposób dzielenia złudzeń otoczenia, by nie czynić nikomu przykrości.

Gdy się wszystko uspokoiło na sali, zrzucił ciężar swego serca przed czuwającą przy nim infirmerką czerwonego krzyża. Powierzył swe ostatnie życzenia, które będą potem drogim skarbem jego bliskich:

„Po mej śmierci proszę napisać do mej matki, kiedy moje miasto zdobyte przez wroga, zostanie oswobodzone.”

Wandale zajęli miasto i wiele czasu upłynie, nim wiadomość ta dostanie się do matki i narzeczonej, zanim te będą mogły opłakiwać śmierć jego, gdyż Niemcy nie dopuszczali listów.

Rozrzewniającemi słowy ten męczennik dobrej sprawy, dawał swe ostatnie rozporządzenia. Piękna postać i widoczne moralne zalety młodzieńca obudzały dlań ogólną sympatyę, patrzono nań jak na złamany śliczny kwiat, co się ledwo rozwinął. Podobnych mu już tysiące zginęło.

Mówił o swej gorącej nadziei życia wiecznego, gdzie na swych drogich czekać będzie: — „Umieram za Francyę, a ofiara z młodego życia, niech Jej da młodzieńcze odrodzenie w wierze i chwale.” Potem myśl jego zwróciła się do narzeczonej. — „Portret jej jest w notesiku, oddaję go Pani, rzekł do infirmerki. Po mej śmierci proszę do niej napisać, że umarłem jako chrześcijanin, to ją pocieszy.”

Infirmerka otoczyła go opieką macierzyńskiego serca, co on odczuł i z zaufaniem mówił:— „Powiedz mi Pani, czy zachowają ciało moje w stanie, żeby po wojnie mogło być odesłane do domu?” Uśmiechnął się, otrzymawszy potwierdzającą odpowiedź. — „Powiedz mi Pani, jakie są dziś wiadomości z pola walki? Czyśmy postąpili, czy jest nadzieja prędkiego zwycięstwa?”

O, jak miło jest walczyć za Ojczyznę!

Pociesz mą matkę, napisz do niej, że umierałem bez żalu, ale z zadowoleniem, że mogłem być użytecznym dla mego kraju, o wszystkim napisz. A teraz, proszę wezwać kapelana.

W godzinę później, przy wielkiem skupieniu obecnych przyjął Komunię św. z rąk moich.

Był to tylko nieznany, młody żołnierz, jeden z licznych ofiar, ranny z Beausejour, wczoraj nieznany, jutro zapomniany, a jednak widząc to, zebranie ostatnich sił, by z takiem przejęciem się przyjąć Mistrza swego w ostatniej Komunii, a potem umierać ze spokojem świętych, był to zaiste fakt przemawiający wymownie do dusz obecnych i zaświecił nam przykładem.

Kilku z tej samej gromadki dziś umarło, ale zawsze z lękiem przed nadchodzącą wiecznością, chociaż nie bez nadziei i wiary. — Ten zdawał się witać z uśmiechem nowe, zagrobowe życie, bez obawy.

Musiało tam być gruntowne, domowe religijne wychowanie. Cześć takiej matce, oby więcej podobnych było!

Byłem przy nim do ostatniej chwili, mówiłem o rzeczach nie z tego świata, widziałem, że słowa moje odbijały się promieniejącem weselem na jego bladej twarzy.

Słabł wyraźnie. „Ojcze, pomódl się jutro za mą duszę.” Udzieliłem Ostatnie Namaszczenie. Uroczysty nastrój odbijał się na twarzach żoł-

nierzy. Infirmerka szepnęła: „Ofiaruj twe życie za Francyę." — „Tak, za Francyę" — To były ostatnie jego słowa.

Wielu nie znało jego nazwiska, był dla nas Nr. 127my, który wczoraj przybył, a dziś odszedł do wieczności. Żołnierze wyciągnęli sakiewki, by złożyć się na kwiaty dla niego.

ROZDZIAŁ XVII.

Od dawna nie miałem wiadomości od Duroy. Można było przypuszczać, że stan jego choroby pogorszył się, nie traciłem jednak nadziei. Pisząc raz ostatni, chociaż przez drugiego, upewniał, że się spodziewa polepszenia, a z tonu listu wnosiłem, iż pragnie pokonać chorobę, by pracować dalej na niwie bożej. Obiecywał mi dostarczać w dalszym ciągu wiadomości z „la bas" i zbierał opowiadania z rozmaitych wypadków w tym celu.

Jeden z infirmerów, teraz jego sekretarz, opisał mi wzruszającą historyę, opowiedzianą przez rannego księdza przywiezionego do tego szpitala.

Było to w Aragonii, w tym gęstym lesie, gdzie za każdem drzewem krył się żołnierz, a każdy pagórek ziemi stanowił obronną basztę.

Ksiądz zabrany z pola bitwy z powodu ciężkiej rany w nodze, przebywał tam miesiące w nieustannem niebezpieczeństwie, służąc sprawie, absorbującej jego duszę, w ciągłem natężeniu energii. Jednego dnia udał się z własnej woli do od-

dalonej pozycyi, gdzie kilku żołnierzy pracujących tam przy węglach zostało odciętych od regimentu nieprzyjacielskiemi kulami, a uczynił to z miłości dla jednego towarzysza broni, zapamiętałego sekciarza, nienawidzącego religii i duchowieństwa.

Gdy inni przyjmowali Komunię św., on zwykle palił fajkę z ironiczną pogardą.

Jednego ranka wszedł do naszej kreciej jamy porucznik ze smutną twarzą. „Moi chłopcy, rzekł, czterech naszych ludzi, zajętych robotą przy węglarni zostało odciętych kulami od komunikacyi z nami. Widziałem ich z wierzchołka dębu; odstrzeliwują się, ale już dawno są bez pożywienia, nie stanie im wkrótce amunicyi.”

Zrozumiano delikatne wezwanie porucznika do zaniesienia im żywności z narażeniem się na wielkie niebezpieczeństwo. Wszyscy milczeli, a jeden żołnierz mruknął: „Czy to im nie jedno zginąć dziś, czy jutro, kiedy się na to poświęcili. Jeśli głodni, niech ściągną ciaśniej pas na brzuchu. Rozumiem poświęcenie się w obronie chorągwi, albo transzy, ale nie tu.”

Ja tam pójdę, jeśli pozwolisz, poruczniku, rzekł ksiądz, a obawiając się, by ta gotowość nie drażniła innych, dodał: Mnie łatwiej, jestem sam, a tamci w niebezpieczeństwie, mają równe prawo do naszej miłości, jak każdy walczący.

Sekciarz popatrzył na mówiącego.

W pół godziny, obładowany żywnością, udał się w drogę, pełznąc w trawie, kryjąc się gdzie i

jak mógł za zarośla. Ciężka to była expedycya, ale dotarł szczęśliwie do miejsca w sam czas, gdy jeden ze czterech dostał kulę w piersi.

. Wierzyłem, że mój medalik przyniesie mi szczęście, rzekł ranny, cieszę się księże żeś przyszedł; słuchaj mej spowiedzi. Gdy noc nadeszła, cztery cienie wracały do transzów, wlokąc piątego. Ranny umarł po spowiedzi.

Gdy wrócili do swych dziur, postać żołnierza zbliżyła się do księdza, kładąc rękę na ramieniu: „Zrozumiałem religię w twym czynie miłości bratniej. Zrób ze mnie jutro Chrześcijanina!"

Jutro!—było za daleko. We trzy godziny odłam żelaza zgruchotał kość pacierzową sekciarza. Umarł, błogosławiąc Boga i księdza-żołnierza, co zdobył jego serce dla religii, okazując dla bliźniego tyle miłości płynącej z wiary.

Ów ksiądz, znajdujący się teraz w szpitalu, gdzie Duroy leczył cierpliwie swe rany, cięższe niż jego, setki razy spotykał się ze śmiercią oko w oko i widział wiele czynów heroicznych swych towarzyszy.

Obaj wzięli za motto wyrazy umieszczone przez Duroy na sztandarze: „Stowarzyszenie młodzieży katolickiej." „Toujours combattus, parfois battus, jamais abbattus." „Zawsze walczący, czasem bici, nigdy nie pokonani."

Opatrzność zbliżyła tych dwóch towarzyszy, by Duroy mógł zanotować wypadki opowiadane, których tamten, dłużej zostając w bitwie, bywał

naocznym świadkiem i autentycznie podał do opisu.

Ksiądz Marny był sierżantem, zaraz potem drugim porucznikiem, ale to są detale nie wiele mające wspólnego z następującą historyą. Miał on specyalną szarżę pilnowania drugiego brzegu rzeki, oddzielającej naszych od nieprzyjaciela. Noc była ciemna, czarna, a smuga światła odbijając się na szybkim biegu rzeki, była w ciągłem ruchu.

Ktoś czujnie pilnował w ciemnościach, wytężone oczy spostrzegły cienie ruszające się na pochyłości pagórka, na pniach drzew.

Śmierć była przed nimi niedostrzeżona, niespodziana. W mrokach ciemności, w każdym zakątku lufy strzelb nieprzyjacielskich ku nim były zwrócone; okropność niepewności była złowieszcza, ponura, stokroć gorsza niż widzialne niebezpieczeństwo. Ciągłe spodziewanie się kuli, co ma cię przeszyć, a nie wiadomo skąd i gdzie.

Jeden czuwał, a wszyscy przeżywali tragiczne chwile. Cała atmosfera powietrza była ciężka, dławiąca. Nic tak nie męczy żołnierza, jak głucha, ciemna niepewność.

Siedzący cicho, nerwowo ściskali strzelby w dłoniach. Gdyby chociaż można było dowiedzieć się, co oni tam robią, do czego się gotują po drugiej stronie rzeki? mruczeli żołnierze.

Przed nimi, o trzy kilometry czekały armaty, gotowe rzucić smugi śmiertelnego ognia, w ich

duszach kwitła ufność i nadzieja. Gdy się ozwie pieśń zniszczenia, zaryczy swą śmiercionośną melodyę, wyzwoli nas przynajmniej z monotonnej bezwładności, zacznie się walka, rzucimy się do obrony, wprowadzimy w ruch, w czyn nasze członki, będziem walczyć za Francyę. Tak myśleli żołnierze i z całem naprężeniem męskiej energii rwali się do ataku. Jedyne ich pragnienie — uderzyć, walczyć, odeprzeć nienawistnego wroga, ale na teraz rozkaz był — czekać z jedną nogą w błocie.

Upłynęła godzina, jeszcze ponure milczenie. Uszy żołnierzy ćwiczone przez długi czas do chwytania najlżejszego szmeru, usłyszały niewyraźne odgłosy, jakby szmer podziemnego kopania. Chytra robota prowadzona przez Niemców w ich podziemnem ryciu ziemi naszej.

Co oni tam mogą robić, co za niespodziankę gotują chytrze? Musimy dowiedzieć się, musimy wykryć ich podziemne plany i to obłudne działanie, choćby kosztem życia całego regimentu.

Tak, trzeba odkryć tę czarną w podziemiu tajemnicę. Ale jak? Kapitan z zafrasowaną miną zapytał, ktoby się odważył przejść ową linię śmierci, kawałek gruntu i ruchomą baryerę na rzece, której gwałtowne fale uderzają o brzeg nieprzyjacielski?

Wystąpił ksiądz Marny i taka rozmowa wszczęła się pomiędzy kapitanem a sierżantem:

„Kapitanie, potrzebujesz kogo?”

„Tak, ale człowieka, któryby stał za dziesięciu!”

Ksiądz na to zamilkł nie chcąc wysuwać się ze swą odwagą. „Jeśli myślisz, że ja....

Oficer został poruszony ale wiedział, że takiej ofiary nie może łatwo przyjąć.

Mój drogi przyjacielu, rzekł, to przedsięwzięcie jest nader niebezpieczne. „Ja nie lękam się niebezpieczeństwa.” Trzeba przebyć rzekę. „Ja umiem pływać.” To wymaga niezwykłej roztropności i cierpliwości. „Myślę, że potrafię być cierpliwym.”

Kapitan widział, że ma człowieka, zdolnego odpowiedzieć trudnemu zadaniu. Chciał dalej mówić, ale sierżant wiedział o co mu chodzi, a nie chcąc dać przyjść do słowa, rzekł: „Jestem gotów umrzeć.”

Parę sekund przeszło, zanim ks. Marny zdołał wyczytać z oczu oficera stanowczą decyzyę.

„Więc idź, Ojcze, Pan Bóg niech będzie z tobą!”

Wyszedł. Przygody jego przejścia były, jakie zwykle w podobnych razach przebywają podobni bohaterzy. Z odwagą, z prostotą, z poświęceniem się bez granic, przeszedł zapory, przebył rzekę w jej zdradzieckim prądzie, mając przed sobą terytoryum nieprzyjacielskie zaraz na drugim brzegu, a opodal niemieckie transze. Ale wszystko to niczem w porównaniu z następną dramatyczną sy-

tuacyą, wobec której dusza kapłana drżała od oburzenia i wstrętu.

O kilkanaście kroków stał na warcie niemiecki żołnierz, wpatrując się w stronę rzeki należącej do Francuzów. Człowiek ten nic nie widział ani słyszał po za sobą, ale najlżejszy szmer zniszczyłby pracę dotąd prowadzoną z takim trudem.

Terasy wzniesione na prędce, kryły mitralieze.

Ks. Marny to widział; mógby teraz wrócić do swoich, stamtąd zatelefonować po artylerye, która wpadłszy niespodzianie, zmiotłaby tę nową nieprzyjacielską redutę do szczętu, dając możność żołnierzom francuskim posunięcia się dalej o dwa kilometry, po wyparciu wroga, zwycięstwo byłoby świetne, ale ten człowiek, co tam stoi na warcie... On dotychczas nic nie widzi, ani słyszy... ale gdyby usłyszał...

Mała gałązka może zrobić szelest i wywołać alarm, wtedy wszystko stracone, Niemcy zniweczą, w proch wszystko obrócą, przygotowali się do tego.

Marny, ukryty w cieniu, przypadłszy do ziemi, rozważał trudną sytuacyę. — Ach ten człowiek, tam nieruchomie stojący!... Wstrętnem jest zabijać z zimną krwią. I on stojąc na warcie, spełnia obowiązek, jaki wojna nań włożyła.

A jednak, nie ulega wątpieniu, że byłoby to słuszne i sprawiedliwe, gdyż oni nie mają skrupu-

łów mordując niewinnych i bezbronnych po barbarzyńsku.

Zresztą dwóch nieprzyjaciół walczących stron mogą się spotkać w takiej chwili, gdy Ojczyzna jednego potrzebuje, aby ją bronił, muszą więc uderzyć wzajemnie na siebie, a wtedy źle z tym, który się później spostrzegł, lub był mniej uzbrojony.

Nie sam fakt zabicia przejmował tak duszę Marnego, on, jako żołnierz już nie raz zabijał w różnych starciach i atakach, ale dręczyła go myśl uśmiercenia tego, stojącego przed nim człowieka, który w tej chwili, o niczem nie wiedząc używał spokoju i życia.

Ale w takim położeniu nie można powodować się sercem, ani uczuciem litości, trzeba i z tego zrobić ofiarę, gdy obowiązek każe, Francya oto błaga, nalega, rozkazuje, również głos miłości bratniej, który każe uderzyć w tego, który chce w nas uderzyć.

Tam bracia oczekują od niego wiadomości, bezpieczeństwa, które powinien dla nich zdobyć, możności odebrania trochę więcej gruntu od najezdzców i gwałcicieli cudzej własności. To wszystko jest więcej niż jeden żołnierz! więcej niż ręka, która dusi nocnego stróża, jeśli pozostaje ten jedynie środek, by go uczynić nieszkodliwym.

W tym celu Marny zbliżył się do nieruchomego człowieka, który nie słyszał śmiałego skradania się, niosącego mu śmierć. Skoczył; dwie ręce

ścisnęły gardło niemieckiego szyldwacha, kości zatrzeszczały, głuchy chrzęst ozwał się w gardle, drgające ciało obaliło się o trawę, sztylet przeszył serce tak, że już się nie obudzi i nie zrobi alarmu.

— Stało się. Ręce jego przelały krew na zimno, ale sumienie świadczyło w duszy, iż spełnił obowiązek żołnierza, służąc ojczyźnie.

W pół godziny później armaty nasze zmiotły do szczętu jaskinie rabusiów, otworzyły drogę naszej infanteryi, która tej nocy ostrym końcem swego widelca zapisała stronicę nieśmiertelnej sławy. Zdobyliśmy nader ważny punkt strategiczny, a hordy najezdnicze pchnęliśmy daleko wstecz, oswobodziliśmy kawał gruntu i raz jeszcze dowiedliśmy, iż francuscy żołnierze nie umieją się cofać.

Takie to zdarzenie opowiadał ks. Marny słuchającemu go ze łzami Duroy. Chory zapomniał o cierpieniu, raczej zręczność wojownicza. jego nowego przyjaciela, ukoiła gwałtowny ból, dręczący go dniem i nocą.

Ale ten czyn heroiczny ma jeszcze swój epilog, który wymownie go podkreśla.

Przy końcu listu przynoszącego mi to wierne opowiadanie Duroy własną ręką dodał, co następuje:

„Wczoraj bez względu na chorą nogę Marny wstał rano o 6tej. Widziałem, że się powlókł gdzieś z sali.

Pytałem go o racyę tej nieroztropności. Odrzekł z prostotą: „Idę modlić się.”

Wrócił z twarzą jaśniejszą tem uczuciem głębokiej radości, wobec której znika wyraz fizycz-nego bólu. Cierpiał, ale był szczęśliwy. O, znam to usposobienie, ten stan moralnego zadowolenia, którego niemieckie kule nie są w stanie w nas zaćmić.

Ksiądz Marny przywlókł swą chorą nogę i siadł przy moim łóżku.

„Mój drogi, rzekł, właśnie modliłem się za duszę zmarłego."

Tylko za jedną?

„Tak, za tego, któregom zadusił w Aragonii, śmierć ta nie ciąży na mojem sumieniu. Ja jestem żołnierz, a on był nieprzyjciel. Musiałem zabić, bo to był mój obowiązek, ale gdy moje ręce dusiły jego gardło, odczuwałem niezrównany wstręt, posyłając tę duszę do wieczności i błagałem Pana Boga o miłosierdzie nad nim, a przebaczenie jego grzechów, o niebo, gdzie już nie będzie nienawidził, ani przeklinał. Dziś rano poszedłem spełnić me postanowienie, odprawiłem Mszę św. za jego duszę."

Marny uśmiechnął się. Spadł mu ciężar z serca.

Popatrzyłem nań, nie widząc co więcej admirować, czy żołnierską odwagę, czy kapłańską cnotę, która i w tym czasie zemsty, nie zapomina o modlitwie za nieprzyjaciela.

ROZDZIAŁ XVIII.

W dzisiejszym konwoju rannych, jest jeden adjutant, który od pierwszej chwili zyskał naszą sympatyę. Przywieziono go prosto z polowego szpitala od frontu. Wyjmując go z pociągu, dowiedzieliśmy się, że jego pułk był się dostał w ręce Niemców, ale tylko na dni kilka.

W pierwszych dniach nikt go nie odwiedzał. Wesół był pomimo ran, był to umysł wyższego polotu. Podał nam niezmiernie ważne wiadomości, tak pożądane przez każdego Francuza w tym czasie tragicznych zdarzeń. Pędził on tam bardzo czynne życie, jako młody medyk, dnie i noce spędzał w transzach i oglądał wojnę w całej jej przerażającej i wspaniałej formie.

Pragnął wyleczyć rany, by jak najprędzej wrócić do swoich tam obowiązków.

Młody ten lekarz miewał sposobność zbliżać się do żołnierzy, niejako wnikać w głąb ich dusz i poznać rozbudzenie się szlachetnych uczuć w naszej młodzieży.

Słuchając jego opowiadań, radowaliśmy się, iż z ust naocznego świadka dowiadujemy się o dzielności i brawurze naszych obrońców.

Często w tem opowiadaniu przedstawiał trudne, nieraz wprost bolesne zadanie medycznej obsługi na froncie, opisywał bezgraniczne poświęcenia się, piękne apostolstwo naszego duchowieństwa.

Księża pracujący przy rannych na polu walki, również jak i lekarze tak są wystawieni na ogień, jak i walczący żołnierze. Nie wychodził z podziwu dla odwagi kapłanów.

Z pomiędzy wielu epizodów najlepiej zapamiętałem jeden, gdzie występuje prawdziwe junactwo Gala, jedno z długiej listy podobnych.

Była niedziela. W transzach na północ przez dwa tygodnie żołnierze nasi siedzieli opluskani wodą, obryzgani błotem, skazani na tę nieruchomość stokroć gorszą, od najbardziej niebezpiecznego ataku, chociaż i takich nie brakło.

Każdego ranka, mówił adjutant, gdy wchodziłem do ich dziur z moją lekarską obowiązującą wizytą, ryzykując być zastrzelonym przez Niemców z przeciwka, zapominałem o osobistem niebezpieczeństwie, na widok tych zagrzebanych w ziemi biedaków.

Co za obrzydliwa robota! Siedzieć w wilgoci, w ciemnościach! Na co nas narażają ci wstrętni drapieżce, którym dzienne światło zawadza.

My, którzy lubimy potykać się z nieprzyjacielem oko w oko przy świetle dnia bożego, wedle wszelkich praw przyrodzonych, walczyć szlachetnie, na widowni wszystkich, a choćby i paść za dobrą sprawę, to po rycersku, nie jak krety, dziś zmuszeni jesteśmy przez tych podziemnych bandytów pełzać na brzuchach w błocie, czołgać się po ziemi, czatować jak lisy w norach, leżeć na własnym gruncie, by go obronić swem ciałem od inwa-

zyi rozbójników, to jest oburzające, to woła o pomstę!

Młody doktor był niezrównanym w opisach tego nowego systemu kreciego wojowania, ale często wpadał w entuzyazm na wspomnienie jak nasi chłopacy przyjmują chętnie upokarzające życie transzy i ten czołgający się system walczenia, byle tą ofiarą przygotować zwycięstwo Ojczyźnie.

Od serdecznego śmiechu, przy opisie zabawnych zdarzeń życia w krecich jamach, przechodził do uczucia dumy na wspomnienie zadziwiających czynów poświęcającej się odwagi, na które sam patrzył.

Twarz jego promieniała, gdy opowiadał następujący czyn junakieryi, wywołanej wzniosłą intencyą głębokiego czynu.

Tej wyjątkowej niedzieli jakiś ponury smutek zapanował wśród naszych i owładnął ich dusze. Zimno i szaro było na świecie i chłód moralny do serc szturmował; nie można było zdobyć się na myśl, ani słowo wesołe. Za wiele trupów leżało około nas, za wiele ciał naszych towarzyszy, pociętych w kawały we wczorajszym morderczym ataku, — który odepchnęliśmy, ale jakim kosztem!...

Mieliśmy ich grzebać przy transzach. Gdy będziemy strzelali, piersi nasze leżeć będą na ich mogiłach w grobowym uścisku.

Ci drodzy, tam jeszcze leżący, przemawiali za głośno, a my, wobec tego zachowywaliśmy milczenie żałoby.

Niedziela, — a nic nie ma, coby nas podniosło na duchu, kazało zapomnieć o krwawym gruncie, na którym stoimy, nikogo, ktoby wywołał echo wielkich nadziei budzących odwagę. Oficerowie spoglądali na siebie pytającym wzrokiem, coby można zrobić dla rozweselenia żołnierzy? Nagle wesołe powitanie zwróciło wszystkie twarze ku wejściu.

Żołnierze zawołali: „Mój Boże! toć chyba on cały podziurawiony kulami, jak przetak?”

Ręce wyciągnęły się ku przybyszowi, który śmierć pokonał, a ruch ten wyrażał podziw dla przebytego niebezpieczeństwa na linii śmierci.

Stanął wśród nas, uśmiechał się, on co przed chwilą był istną tarczą dla kul niemieckich. I usłyszeliśmy te słowa: „Dzień dobry wam dzieci! Ja wam przynoszę Przenajświętszy Sakrament!”

Ręce miał skrzyżowane na piersiach nasz dobry kapelan, poły sutanny wahały się od gradu lecących kul, jak od wiatru, a on szedł.

Był tak bohatersko piękny w tym czynie miłości i odwagi, niosąc nam Sanctissimum, iż myśl, że mógł był paść, podniecała w nas admiracyę, jaką mieliśmy zawsze dla jego osoby.

Powoli, zbliżył się do wnętrza, pokój odbijał się w jego twarzy. Przyniósł on nam to, czego

człowiek dać nie może. Prawdziwą Obecność Chrystusa i pociechę Jego wszechmocnej opieki. Dla tego to, gdy wchodził, wszyscy, nawet ci, co mieli siebie za niewierzących, pochylili głowy przed Bogiem, przychodzącym nawiedzić ich, w tem opuszczeniu pełnem niebezpieczeństwa. Większość uklękła, ponieważ Przenajświętsza Obecność poruszyła ich dusze, rozbudziła drzemiącą wiarę. W milczeniu ksiądz podszedł do małego stolika z chropowatego odłamu kamienia, rozłożył korporał i postawił Cyboryum.

Potem zwrócił się do nas. „Dzień dobry wam, przyniosłem dla was Komunię św. ponieważ niektórzy z was mnie o to prosili.” Mistrz przybył odwiedzić was, niewidzialny Wódz wojsk naszych, który kocha Francyę, opiekuje się żołnierzami i wiedzie was do zwycięstwa. On jest życiem, w Nim bezpieczeństwo, a tak jest Wszechmocny, że śmierć, tysiąc razy głaszcząc me ciało, co było Jego ołtarzem, śmierć rycząca, co tam rżnie i ścina, nie śmiała ani tchnąć na Niego, ani zniszczyć mych piersi, co Go wam niosły.

Zbliżcie się, drodzy przyjaciele i powitajcie Boga, który do was przybył, Boga naszej Ojczyzny i całego świata, który pobłogosławi te ciemne schronienia wasze, w których trzyma was poświęcenie się dla Francyi, a jeśli umrzecie, uczyni z nich groby zmartwychwstania i przyszłej chwały.

Zwrócił się ku Najśw. Sakramentowi, ukląkł i modlił się w milczeniu. Wszyscy żołnierze poklę-

kali, jedyny szyldwach, stojący na warcie u wejścia nie mógł zmienić pozycyi, stać musiał z obowiązku, ale cała jego postawa i ręka prezentująca broń, wymownie świadczyła, że i on cześć oddaje bożej obecności.

Potem żołnierze i oficerowie przyjmowali Komunię św. w tych nowożytnych katakombach. Inni modlili się w skupieniu. Nazewnątrz dzwonienie, łoskot naszej ciężkiej artyleryi. Kapelan obrócił się do nas i wyrzekł słowa wlewające do dusz słodką ufność i nadzieję. Dzwony odgłosów wojny przydzwaniały nam na Benedykcyę.

Podniósł Cyboryum, zakreślił nad nami duży znak krzyża, z którego zdawało się spływać światło do posępnej groty, a twarze wojowników jakże się odmieniły, niektórzy uśmiechali się, inni mieli wyraz błogiego spokoju i rozpromienienia płynącego z serca. Ponurość i melancholia poranna znikły bez śladu przed ogniem odwagi, jaką boski Gość rozpłomienił w ich pokrzepionych duszach. Nieustanne głosy wojny niedawno budzące pewną trwogę, śpiewały im teraz pieśń zwycięstwa, wiodącą do nieśmiertelności.

„No, teraz mogą przyjść!” wyrwało się jednemu żołnierzowi z południa. Nikt się z tego nie śmiał. On wyraził uczucia wszystkich, a w nich nowe siły odrodzone w dziękczynieniu po Komunii św.

Inny wstał z kolan, podniósł ręce: „Kiedyż idziemy na spotkanie Hunów?” Nie skończył, na

okrzyk szyldwacha podniesiono głowy, chwycono za broń.

„Idą!" z pochyłości transzy chrzęst mitraliez rozchodził się w powietrzu i odbijał się namiętną nutą wojny. Rzucono się ku wyjściu, ale w porządku, każdy wydostał się na parapet i zajął swe niebezpieczne miejsce z niezamąconym spokojem, główną cnotą wojenną.

Kapelan błogosławił każdego przechodzącego, podniósł Cyboryum nad ich głowami i wyrzekł słowa idącym na śmierć, które umacniają wierzących i zapalają męczenników: „Benedictio Dei Omnipotentis."

Gdy wyszedł ostatni, kapelan postawił Cyboryum, ukląkł i modlił się przed Najświętszym Sakramentem.

Trzaskające pioruny leciały nad jego głową, okrutna walka niosła echo rzezi, kule uderzające w pochyłość wejścia do okopów narzucały naokoło Cyboryum kawałków ziemi, bryzgów krwi i błotnistej wody. Kapelan modlił się nieporuszony: „Panie, obiecałeś zwycięstwo tym, którzy walczą za sprawiedliwość, daj żołnierzom Francyi moc do pokonania wroga, a przyjm do swej chwały tych, co w tej chwili padają w obronie gwałconej wolności i praw Twoich."

Walka trwała trzydzieści minut.

Powoli huk strzał oddalał się, ogień zmniejszał się. Dawały się słyszeć głosy tych, co ocalali, i jęki rannych. Pierwszy wszedł sierżant. „Ojcze,

zadaliśmy im porządną dozę lania tym razem. Za sierżantem wnoszono do transzy zakrwawione ciała, ksiądz rzucił się ku nim z duchowną pomocą. Sierżant go zatrzymał. Nie tu, to jeszcze niebezpieczne miejsce.

O, jakiż to widok!... Nieśli umierających, ofiary dobrej sprawy, obrońcy przed barbarzyńskim gwałtem, przed godziną młodzieńcy w kwiecie wieku, pełni życia. Zaniesiono ich do ich nor napowrót i tam złożono. Członki połamane, krew buchająca ustami, piersi poszczerbione.

W pośród tego okrutnego składu poszarpanych ciał, Cyboryum jeszcze stało, Jezus z Kalwaryi pozostał tam, by przyjąć dobrowolną expiacyę Francyi całej w osobie ofiarujących się jej synów. W tych podziemnych okopach odbywały się wspaniałe sceny katakomb i epizody z morderczych amfiteatrów. Oto niosą ciężko rannego żołnierza, obie ręce zdruzgotane obwisły bezwładnie, krew płynie, wyraz boleści na bladej twarzy, powieki spuszczone, ale on pamięta, że tam jest Pan Jezus, przed którym, pół godziny przed tem złożył dobrowolną ofiarę z życia za kraj swój, otwiera oczy, zwraca je do Najśw. Sakramentu, a w tem wejrzeniu tyle żywej wiary, błogiej nadziei i gorącej modlitwy co poleca siebie, rodzinę i Ojczyznę tej wszechmocnej opiece.

Drugi, umierający zebrał ostatnie resztki gasnących sił, by uczcić wejrzeniem i lekkim ruchem głowy Mistrza, który opromienił jego ostatnie na

ziemi chwile świtaniem zorzy niedalekiego nad dzikim wrogiem zwycięstwa, z czem mu umierać lekko.

ROZDZIAŁ XIX.

Drogi przyjacielu.

Zabrano mnie do szpitala w R.... daleko od frontu, po za strefą wojenną, w małem mieście. Nie zdaje mi się, żebym mógł prędko oglądać jego wieże i zwiedzić widoki...

Jestem zmęczony, smutny, niemal zniechęcony. Zdawało się, iż jest nieco lepiej z memi ranami, a teraz stan ich pogorszył się i bolą bardzo. Ty, coś pielęgnował podobne cięcia w biodro, wiesz co to jest. Chirurdzy sami nie są pewni. Co innego, gdy chodzi o rękę, lub nogę, wtedy wiedzą co mają robić. Jeśli okaże się potrzeba zakażony członek usunąć, można bez niego żyć jeszcze i pracować, ale tu co innego. Cierpię bardzo, ale więcej z powodu bezczynności niż z ran i po raz pierwszy odczułem osamotnienie i próżnię około siebie, sprawiające zawroty głowy.

Ale mój drogi, czyż to nie pociecha posiadać mój wojenny oznak honorowy, który próżnię obecną zapełnia tylu wspomnieniami!

W mych bezsennych nocach mam ulgę w zeznaniu, że się zrobiło trochę dobrego, spełniło obowiązek i że mi jeszcze została możność dania dobrego przykładu moją rezygnacyą. Staram się

okazywać się i na zewnątrz kapłanem, wykazując wielkość tego stanu w moich cierpieniach.

Skłamałem pisząc ci, że jestem zniechęconym. Zniechęceni bywają nieszczęśliwi, a ja nim nie jestem. I jakże mógłbym nim być, odczuwając w duszy odbicie wszystkich aktów heroizmu mych współbraci?

Wsłuchuję się w koncert uwielbień, admiracyi, wykonany czynami poświęceń, odwagi osobistego zaparcia się na korzyść sprawy bożej i Francyi. Niepospolita wartość działalności 20,000 księży francuskich, zajętych pracą dla dusz i walką o przyszłość Francyi, czyż to nie radość?

Słyszę naokoło mnie, od mych towarzyszy cierpień okrzyki wdzięczności wyrywające się z ich prostych, szczerych serc dla księży, których miłość niosła im wsparcie w trudnych chwilach. — Nasz porucznik, proboszcz, dał mi Komunię św., to mnie umocniło!

„Nasz sierżant dał mi absolucyę!” „Gdyby nasz kapelan nie był odprawił Mszy św. przed walką, był bym nie uszedł śmierci!” „Nasz kapral zmówił znami różaniec i zaraz się raźniej zrobiło.”

Wszędzie oni są, nasi poczciwi bracia w powołaniu, dodają energii, rozbudzają zmniejszającą się odwagę.

Gdy mi wczoraj administrowano Ostatnie Namaszczenie, wszyscy chorzy zachowali skupienie, jedni się żegnali, drudzy modlili. Niektórzy przypomnieli sobie chłopięce lata, gdy byli mini-

strantami i robili uwagi, że Hostya św. zawsze ta-
ka sama, piękna, wspaniała.

Gdy ksiądz odszedł, mój sąsiad, z trzema ku-
lami w brzuchu, rzekł swem kolonialnem narze-
czem: Nie wszyscy byli przy tobie, o, tamte brzyd-
kie psy niedowiarki!... Inny zazdrościł mi, chciał
by Pan Jezus i przy nim się zatrzymał.

No, teraz muszę cię pożegnać, mój drogi, sta-
ry przyjacielu. Pamięć o tobie i o innych drogich
memu sercu, osładza mi te smutne godziny. Pielę-
gnuj twych rannych żołnierzy z największą tro-
skliwością, gdyż zasiewając ziarna miłości w ich
sercach, przygotowuje się żniwo wiary. Nie byliś-
my przedtem takimi Apostołami, ani takimi nau-
czycielami Ewangelii, ale w obecnych warunkach
bezwzględnego poświęcenia się, walcząc z bronią
w ręku, czy pielęgnując rannych, lub, jak ja teraz
leżąc w szpitalu, żyjąc, czy umierając, ksiądz na
wojnie ma zawsze wyższość nad żołnierzami i zdo-
bywa ich dla religii, jak religia zdobywa kraj cały
dla Boga.

Czyż nie dała nam Opatrzność chwil wznio-
słych błogich? Nie wierz w smutek, o którym pi-
sałem. Jestem szczęśliwy, kocham mój los, dający
mi poznać wojnę, doświadczyć niebezpieczeństw
i cierpień.

Czyż dla wielu nie byłoby piękniej umierać
z ran za dobrą sprawę, aniżeli w łóżku z zapalenia
płuc, lub trawiącej gorączki?

Adieu, dobry przyjacielu. Odpisz mi prędko, są słuszne racye pośpiechu.

Twój stary przyjaciel,

Duroy.

Trudno mi było zrozumieć ton listu i opanować wrażenie, gdy zaraz nadszedł telegram, potwierdzający słuszne domysły: „Ksiądz Duroy umarł w szpitalu w R.

Ważne racye prędkiej odpowiedzi, o których pisał mój przyjaciel były te, że się czuł bliskim śmierci. Gorącemi łzami opłakałem ten zgon. Śmierć ta nie nasuwała mi myśli o smutnym końcu tak pięknej egzystencyi, ani gorzkiego żalu co przenika serce przy grobie przyjaciela. Nie, smutek jaki czułem po stracie jego, zniknął w gorącem uwielbieniu, jakim mnie natchnęły czyny tego 30-letniego bohatera.

Umarł, jak sobie życzył umierać; w pełności sił, wśród pracy, zabity przez wroga, więcej niż żołnierz, wielki pracownik miłosierdzia, niemal męczennik.

Francya dała mu pocałunek chwały, zapłaciła swe długi, ale większa chwała i trwalsza nagroda wznosi się z miejsca, niedaleko granicy, które miłość bratnia, poświęcenie się dla obowiązku naznaczyło jego krwią. Kapłan-żołnierz widział swe marzenia spełnione dokładniej, aniżeli śmiał pragnąć, gdyż jest to największa łaska dla bohatera, widzieć, że niebo przyjmuje w zupełności jego ofiarę i dobrowolne jej dokonanie.

Nasunęły mi się wspomnienia pierwszych dni, gdyśmy obaj spotkali się jako żołnierze i ze wzruszeniem wymienili myśli z głębi dusz.

Słyszę jeszcze jego słowa z dźwiękiem jego głosu. Ja zapytałem, kiedy się spotkamy? On odrzekł z uśmiechem: „Czy też się spotkamy? i dodał z pewnym ruchem dumy, która oddala z serca wszelkie osobiste uczucia, a ponad wszystko z zapałem gorącej duszy, rwącej się do oddania się drugim bez rezerwy: „Umrzeć za sprawę bożą i kraju, gdy się ma tylko lat trzydzieści, to wielka, niezasłużona łaska!”...

I tak zgasło to życie w urzeczywistnieniu swych ideałów!

Modląc się za tego Apostoła miłosierdzia i miłości, nie wiem czy mam mówić De Profundis, czy Magnificat. Żałuję tego życia, ale razem cieszę się taką śmiercią, gdyż jego krew wspólnie z krwią tylu innych spełni swe zadanie w zamiarach Opatrzności bożej, służąc do odnowienia katolickiego chrztu Francyi.

Prosiłem o szczegóły jego śmierci. Przysłano. Umarł zrana, gdy budzą się i gdy największy ruch w szpitalu. Sąsiad jego łóżka, który go bardzo pokochał, spostrzegł iż leży nieruchomo i zapytał: „Czy śpisz jeszcze Duroy?” Nie odpowiedział, ale chciał podnieść swą bladą przezroczystą rękę, lecz mu opadła bezwładnie.

Zwykle własne cierpienia tak pochłaniają chorych, że mało, lub wcale nie zajmują się drugi-

mi. Tu było przeciwnie, wszyscy z zapartym oddechem wlepili oczy w ukochanego Duroy, rozumiejąc, że każdy z nich traci w nim przyjaciela. Wielu podniosło się na swych łożach, by raz jeszcze na niego popatrzeć, podziękować mu za tyle słów otuchy i współczucia.

Nagle otworzyła się zabliźniająca się rana, krew rzuciła się, zalewając pościel i łóżko. Doktor chciał zatamować, umierający zabronił lekkiem poruszeniem głowy. Twarz bladła, życie nikło. Wszyscy z bijącem sercem nań patrzyli, niektórzy modlili się, łzy rosiły ich oczy.

Zastrzyknięta kafeina wróciła mu nieco ruchu w członkach, a chory chcąc skorzystać z tej krótkiej chwili, podniósł się nieco, prosząc wzrokiem doktora, by go podtrzymał. Doktor usłuchał, rozumiejąc ważność ostatniego życzenia.

Duroy podniósł prawą rękę i uczynił znak krzyża, błogosławiąc swych braci w cierpieniu a dokonawszy swej ziemskiej misyi do ostatka, opadł na pościel bez życia.

Łkania i jęki dały się słyszeć na sali. Infirmerzy brali ciało, a gdy zabierano skrwawioną pościel, ranni wypowiadali głośno swą żałość po stracie miłego „Cure”, który oddał swe życie, by ich ocalić, gdyż było tam wielu z tych, których on zabierał na nosze wśród kul nieprzyjacielskich.

Drewniany krzyż wskazuje miejsce, gdzie spoczywa mój przyjaciel.

Rodzina serdecznie go opłakująca, uszanuje ostatnie życzenie kapłana, który pragnął pozostać żołnierzem i w wieczności.

Po wojnie zabierzemy jego trumnę z cmentarza i z pobożną pielgrzymką odprowadzimy na małe wzgórze w Argonii, zryte kulami wroga. Jeden z rannych z łatwością odnajdzie bruzdę, gdzie trzy niemieckie kule uderzyły w kapłana, niosącego miłosierdzie w bratniej miłości.

Tam go pogrzebiemy z należną czcią i niewygasłą miłością, a to miejsce stanie się bardziej niż przedtem nasze.

Życzeniem zmarłego było: „Pragnę, by ciało moje spoczęło w miejscu walki, by tym sposobem, stało się niejako żywą cząstką gruntu naszych granic.”

Była to piękna myśl, jakby od progu wieczności, wyrażając słowa świątobliwego proboszcza Francyi.

„Należy kochać Ojczyznę w Bogu nawet po za grobem.”

KONIEC.


LIBRARY OF CONGRESS
0 019 966 062 7

